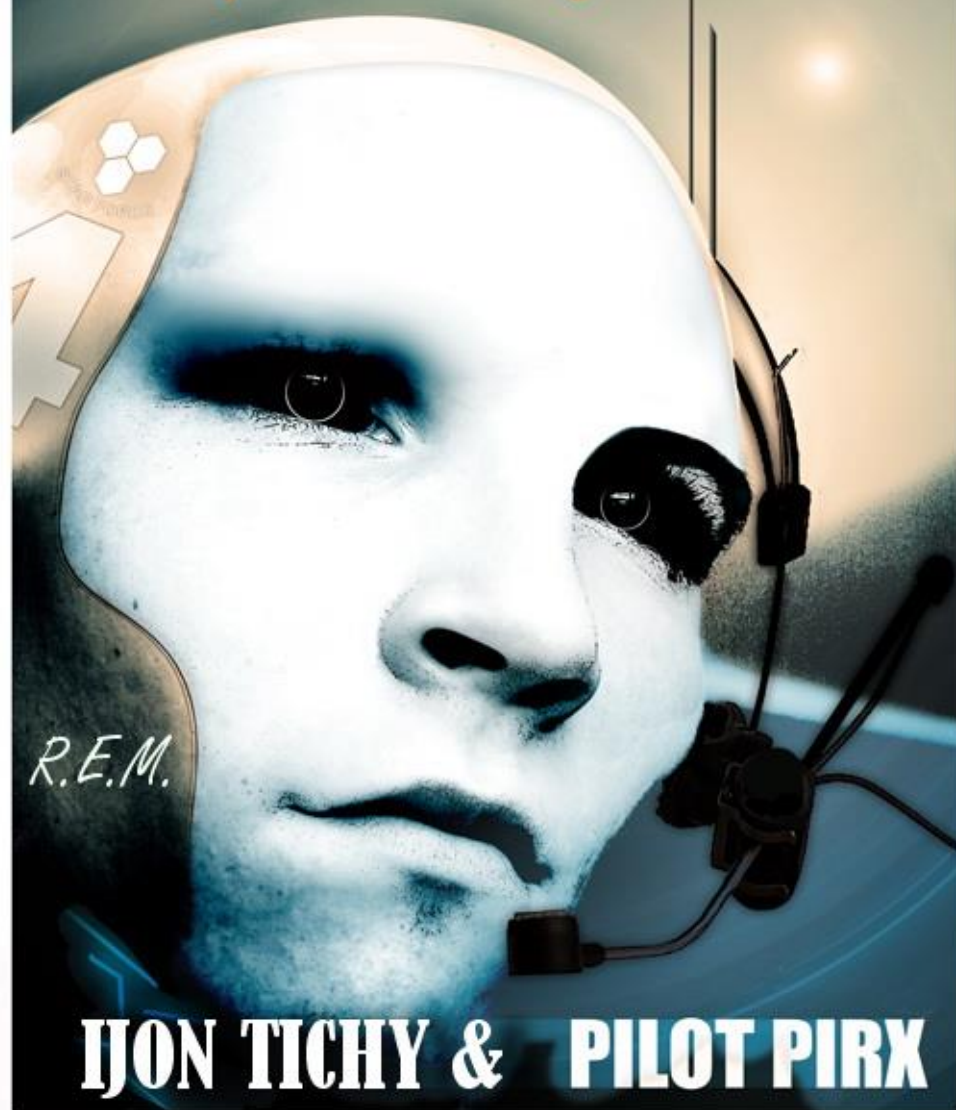


**Stanisław LEM**

# TYTAN

*Opowieści dookończone*



# Stanisław Lem

**TYTAN**

Opowieści dokończone

Zbiór poświęcony pamięci Stanisława Lema

Warszawa 2009

Redakcja zbioru  
wraz z opracowaniem graficznym i posłowiem  
*R. E. M.*

Autorzy opowiadań  
*Stanisław Lem (Albatros)*  
*R. E. M. (Zaćmienie)*  
*Emanuelle Vytautasdóttir (Ares i Terra)*

Dzieło, jako całość oraz jego utwory składowe  
podlegają ochronie prawnej.

Opowiadanie *Albatros* pochodzi  
ze zbioru *Inwazja z Aldebarana*  
(Wydawnictwo Literackie 1959)

Przedmowę stanowią urywki  
z eseju *Roberta Stillera Lemie! po co umarłeś?*  
(vis-à-vis/Etiuda 2006)  
Posłowie (Kochanek próżni) stanowi cytat  
z eseju *Marka Oramusa Bogowie Lema*  
(Kurpisz 2007)

Fragment *Ulalume Edgara Alana Poego (1847)*  
przełożył z języka angielskiego *R. E. M.*

Copyrights  
© *R. E. M.*  
(*Tytan. Trzy opowieści o pilocie Pirxie*)  
© *Stanisław Lem (Albatros)*  
© *R. E. M. (Zaćmienie, Ares i Terra)*

## Spis treści

- Przedmowa (Robert Stiller)
- ALBATROS
- ZAĆMIENIE
- ARES I TERRA
- Posłowie (M.Oramus i R.E.M.)

### Bonus

- NIEZNANE OPOWIEŚCI PILOTA PIRXA. Zagadka
- ZAPOMNIANA PODRÓŻ IJONA TICHEGO.
- **Ijona Tichego podróż na Minimę**

## **Przedmowa\***

*Lemie!*

*Różne sposoby przetwarzania tradycyjnych powieści w formy zasadniczo się od nich różniące, choć w tym, co najważniejsze, głęboko spowinowaczone, mogą też być zupełnie inne niż w Doskonałej próżni: – twoim największym wynalazku pisarskim.*

*Już kilkadziesiąt lat temu wymyśliłem plagiat jako odrębny gatunek literacki. Nawet rozmawiałem o tym z Julianem Strykowskiem.*

*Postanowiłem wydawać je w zbiorach tak właśnie zatytułowanych: Plagiaty.*

*Trzy z nich już wykonałem.*

*Później zaprzestałem, głównie wskutek wątpliwości: czy warto starać się o poprawianie tych, co napisali pierwowzory?*

*Staszku.*

*Otóż dzięki tobie zrozumiałem: przy zmianie koncepcji mógłbym to jeszcze zrealizować.*

*Streszczać lub cytować na tyle, żeby z pierwowzoru uzyskać trochę mięsa. Nawet go miejscami dodawać po swoim.*

*Robert Stiller*

---

*\*) urywki z eseju R.Stillera: Lemie! po co umarłeś?“, wyd. vis-ř-vis/Etiuda, 2006*

## **Stanisław Lem**

### **Albatros**

Obiad składał się z sześciu dań — nie licząc przystawek. Wózki z winem toczyły się bezszelestnie po szklanych drózkach. Nad każdym stołem paliła się wysoko lampa punktowa. Przy żółtawej zupie światło było cytrynowe. Przy rybie prawie białe, z błękitnawym odcieniem. Kurczęta zalał róż, zmieszany z jedwabistą, ciepłą szarością. Przy czarnej kawie nie zrobiło się na szczęście ciemno — Pirx był już najgorszej myśli. Zmęczył go ten obiad. Obiecywał sobie, że odtąd będzie jadł na dolnym pokładzie — w barze. Gali było dla niego stanowczo za wiele. Cały czas musiał pamiętać o łokciach. W dodatku — toalety! Sala była wgłębiona — obwód wyżej, dno wpuszczone chyba o pół kondygnacji. Wyglądała jak gigantyczny, kremowozłoty talerz, obłożony najbardziej kolorowymi kanapkami świata. Sztywne, półprzejryste suknie szumiały za jego plecami. Bawiono się tam świetnie. Muzyka przygrywała. Snuli się kelnerzy — prawdziwi kelnerzy, każdy wyglądał na dyrygenta filharmonii. „Transgalaktik” gwarantuje: żadnych automatów w obsłudze — intymność — dyskrecja — szczerą ludzką życzliwość — cała załoga żywa. Sami artyści swego fachu.

Pirx pił czarną kawę, palił papierosa i starał się znaleźć jakieś miejsce na sali, w które mógłby patrzeć. Spokojne miej-

sce, w sam raz dla odpoczynku. Sąsiadka podobała mu się. Na jej dekolcie czerniał płaski, chropawy kamyk. Nie żaden chryzopras, nie chalcedon. Nic ziemskiego, pewno coś z Marsa. Musiał kosztować majątek — wyglądał jak kawałek brukowca. Kobiety nie powinny mieć tyle pieniędzy.

Nie był zgorszony. Nie dziwił się. Obserwował. Z wolna rosła w nim ochota wyprostowania kości. Pokład spacerowy?

Wstał, skłonił się lekko, wyszedł. Przechodząc między graniastymi kolumnami, obłożonymi zwierciadlaną masą, zobaczył własne odbicie — spod węzła krawata widać było guzik. Kto zresztą nosił jeszcze takie krawaty? Poprawił kołnierzyk już na korytarzu. Wsiadł do windy. Pojechał na samą górę — na widokowy. Winda otwarła się bezgłośnie. Nie było tu ani żywej. duszy. Ucieszył się z tego. Trzecia część zakłęsłego stropu przed szeregami leżaków ponad pokładem wyglądała jak gigantyczne, czarne okno, otwarte na gwiazdy. Leżaki ze stertami koców stały puste. W jednym z ostatnich tkwił ktoś, otulony po samą twarz — ten zdziwaczały staruch, który przychodził na obiad w godzinę po wszystkich i jadł sam w pustej sali, zakrywając twarz serwetką, kiedy poczuł czyjś wzrok.

Położył się. Niewidzialne paszcze klimatyzatorów pędziły w galerię pokładu nierówno falujący wicher, wrażenie było takie, jak gdyby wiało prosto z czarnych głębin nieba. Konstruktorzy, których zatrudniał „Transgalaktik”, znali się na rzeczy. Leżak był wygodny — wygodniejszy chyba od fotela pilotów, choć jego kształty opracowane były matematycznie. Pirx zaczął ziębnąć. Po to były koce. Owinął się nimi, jakby zapadł w puch.

Ktoś nadchodził. Schodami, nie windą. Sąsiadka z jadalnej. Ile mogła mieć lat? Miała na sobie jakąś całkiem inną suk-

nią. A może to była w ogóle inna kobieta? Położyła się o trzy leżaki dalej. Otworzyła książkę. Wicher szeleścił kartkami. Pirx patrzył teraz prosto nad siebie. Bardzo ładnie widać było Południowy Krzyż. Obcięty ramą okna jaśniał koniuszek Małego Obłoku, jaśniejsza plamka na czarnym tle. Pomyślał, że lot będzie trwał siedem dni. Przez siedem dni może się stać mnóstwo rzeczy. Poruszył się umyślnie. Gruby, złożony we czworo papier zaskrzypiał w wewnętrznej kieszeni na piersiach. Było mu dobrze na świecie — miejsce drugiego nawigatora czekało już na niego, znał dokładnie drogę: z Ziemi Północnej samolotem do Eurazji, i dalej, do Indii. Bilety stanowiły całą książeczkę — można ją było czytać, każdy blankiet innego koloru, podwójny, z odcinkami, talonami, złote brzeżki, wszystko, co „Transgalaktik” dawał pasażerom do ręki, wprost kapało od srebra albo złota. Pasażerka na trzecim leżaku była bardzo ładna. Chyba jednak ta sama. Należało coś powiedzieć — czy raczej nie? Bo niby się przedstawił. Niestety mieć takie krótkie nazwisko — zanim się zaczyna, już się kończy. „Pirx” brzmi całkiem jak „iks”. Najgorsze rzeczy działy się zawsze przy rozmowach telefonicznych. Powiedzieć coś? Co?

Zaczynał się znowu męczyć. Na Marsie wyobrażał sobie tę podróż całkiem inaczej. Armatorzy z Ziemi zapłacili mu przelot — mieli jakieś interesy z „Transgalaktikiem”, zdaje się, i nie był to z ich strony wyszukany gest. On zaś, choć przelatał już prawie trzy miliardy, nigdy jeszcze nie leciał czymś takim jak Tytan. Frachtowce wyglądają zupełnie inaczej! Sto osiemdziesiąt tysięcy ton masy spoczynkowej, cztery reaktory głównego ciągu, szybkość podróżna 65 na sekundę, tysiąc dwustu pasażerów w samych pojedynczych i podwójnych kajutach z łazienkami, apartamenty, stała grawitacja gwarantowana, z wyjątkiem startu i lądowania, najwyższy komfort,



najwyższa bezawaryjność, czterdziestu dwu ludzi załogi i dwustu sześćdziesięciu obsługi. Ceramit, stal, złoto, pallad, chrom, nikiel, iryd, plastyki, marmury kararyjskie, dąb, mahoń, srebro, kryształy. Dwa baseny. Cztery kina. Osiemnaście stacji bezpośredniej łączności z Ziemią — tylko na użytek pasażerów. Sala koncertowa. Sześć głównych pokładów, cztery widokowe, automatyczne windy, zamawianie z pokładu miejsc na wszystkich rakietach całego systemu — na rok naprzód. Bary. Sale gry. Dom towarowy. Uliczka rzemieślników — wierna kopia jakiegoś ziemskiego, staromiejskiego zaułka — z piwniczką win, gazowymi latarniami, księżycem, ślepym murem i kotami, które spacerują po tym murze. Palmiarnia. I diabli wiedzą, co jeszcze. Podróż musiałaby trwać miesiąc, żeby zdążyć obejść to wszystko przynajmniej raz.

Pasażerka wciąż czytała książkę. Czy kobiety muszą farbować sobie włosy na taki kolor? Normalnemu człowiekowi robi się na taki widok trochę... Ale tej, tej było dobrze właśnie z tym kolorem. Pirx pomyślał, że gdyby miał w ręku palącego się papierosa, właściwe słowa od razu by się znalazły. Sięgnął do kieszeni.

Papierośnica, kiedy ją wyjmował — nigdy w życiu nie miał papierośnicy, tę dostał od Bomana, na pamiątkę, i nosił po przyjaźni — zrobiła się jakby trochę cięższa. Odrobinę. Ale był tego pewny. Przyspieszenie wzrosło?

Nadstawił ucha. Aha.

Silniki ciągnęły mocniej. Zwyczajny pasażer wcale by tego nie usłyszał — maszynownia Tytana była oddzielona od mieszkalnej części kadłuba poczwórnymi grodziami izolacyjnymi.

Wybrał sobie bladą gwiazdką w samym kącie ramy okiennej i dobrze miał ją na oku. Gdyby tylko przyspieszali nie ruszyłaby z miejsca. Ale jeżeli drgnie...

Drgnęła. Powoli — nadzwyczaj powoli — płynęła w bok.  
— Skręt w długiej osi — pomyślał.

Tytan leciał „tunelem kosmicznym”, w którym na drodze nie było nic — żadnych pyłów, meteorytów, nic, oprócz pustki. Tysiąc dziewięćset kilometrów przed nim pędził Pilot Tytana, którego zadaniem było dbać o wolną drogę dla olbrzyma. Po co? Na wszelki wypadek — chociaż i tak była wolna. Rakiety trzymały się ściśle rozkładu kursów, „Transgalaktik” miał gwarantowany lot bez zakłóceń po swoim wycinku paraboli — na zasadzie porozumienia, zawartego przez Zjednoczone Towarzystwa Astronawigacyjne. Nikt nie mógł mu wejść w drogę. Ostrzeżenia meteorytowe przychodziły teraz o sześć godzin naprzód — od czasu kiedy bezludne sondy patrolowały tysiącami sektory transuranów, raketom przestało praktycznie grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo z zewnątrz. Pas — orbita miliarda meteorytów między Ziemią i Marsem — miał własną służbę patrolową, nadto zaś szlaki raketowe przebiegały poza płaszczyznę ekliptyki, w której obraca się wokół Słońca grzechocący Pas. Postęp — nawet od czasu kiedy Pirx latał na patrolu — był ogromny.

Tytan nie miał więc najmniejszej potrzeby lawirować — nie mógł wymijać żadnych przeszkód, bo ich nie było. A jednak skręcał. Teraz Pirx nie musiał nawet patrzeć w gwiazdowe niebo — czuł to całym sobą. Gdyby mu się chciało, mógłby obliczyć krzywiznę łuku, znając prędkość statku, jego masę i tempo przesuwania się gwiazd. — Coś się stało — pomyślał.  
— Ale co?

Nie było żadnego obwieszczenia dla pasażerów. Czy ukrywają coś? Dlaczego? Na obyczajach, panujących w luksusowych statkach pasażerskich, znał się bardzo słabo. Znał się natomiast na tym, co może zdarzyć się w maszynowni, w sterowni... nie było tego znów tak wiele. W wypadku awarii statek utrzymałby poprzednią szybkość — albo by zwolnił. Tytan jednak...

Trwało to już cztery minuty. To znaczy — zwrot prawie o 45 stopni. Ciekawe.

Gwiazdy znieruchomiały.

Szli prostym kursem. Ciężar papierośnicy, którą Pirx wciąż trzymał w ręku, wzrósł.

Szli prostym kursem i zwiększali szybkość. Od razu wszystko stało się jasne. Przez sekundę siedział nieruchomo, potem wstał. Ważył teraz więcej. Pasażerka o szarych oczach spojrzała na niego.

— Czy coś się dzieje?

— Nic takiego, proszę pani.

— Coś się zmieniło. Nie czuje pan?

— To nic. Zwiększamy trochę szybkość — powiedział.

Teraz można było rozpocząć normalną, wstępną rozmowę. Spojrzał na nią. Kolor włosów nic nie przeszkadzał. Była bardzo ładna.

Poszedł przed siebie. Przyspieszył kroku. Pewno pomyślała, że jakiś wariat. Do końca pokładu widokowego ciągnęły się różnobarwne freski na ścianach. Przeszedł przez drzwi z napisem KONIEC POKŁADU — NIE MA WEJŚCIA, przez długi, pusty, lśniący metalicznie w świetle lamp korytarz. Szeregi drzwi z numerami. Poszedł dalej. Na słuch. Po schodkach dostał się na półpiętro — i stanął u innych drzwi. Stalowych.

WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO — brzmiała tabliczka. Ha! Jakie ładne nazwy wymyślał ten „Transgalaktik”!

Drzwi były bez klamki, otwierały się specjalnym kluczem, którego nie miał. Podniósł palec do nosa. Namyślał się sekundę.

— Tap — tap — tatatap — tap — tap — zapukał. Czekał chwilę. Otworzyły się. Ponura, zaczerwieniona twarz ukazała się w szparze.

— Czego pan sobie życzy?

— Jestem pilotem z Patroli — powiedział.

Drzwi otwały się szerzej.

Wszedł. Była to amplifikatornia rezerwowej sterowni — wzdłuż ścian szedł dublowany rozrząd dysz odchylających. Z drugiej strony — ekrany kontroli optycznej. Przy aparatach stało kilka foteli, wszystkie puste. Jeden przysadkowaty automat baczył na migotanie tarcz. Na wąskim stoliku pod ścianą stały w pierścieniowych uchwytach szklanki, opróżnione do połowy. W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy i trudna do zidentyfikowania woń nagrzaných plastików zmieszana z nikłym śladem ozonu. Drugie drzwi były nie domknięte. Dochodził stamtąd pisk przetwornicy.

SOS? — spytał człowieka, który mu otworzył. Był to mężczyzna dosyć tęgi, z twarzą z jednej strony lekko opuchniętą, jakby go bolały zęby. Na włosach — pręga od słuchawek. Miał na sobie szary, z błyskawicami, mundur „Transgalaktiku”, nie dopięty. Ze spodni wyłaziła koszula.

— Tak.

Tamten jakby się wahał.

— Pan jest z Patroli? — powiedział.

— Z Bazy. Latałem dwa lata na Transuranie. Jestem nawigatorem. Nazywam się Pirx.

Tamten podał mu rękę.

— Mindell. Nukleonik.

Nic więcej nie mówiąc, poszli do drugiego pomieszczenia. Była to kabina radiowa — łączności bezpośredniej. Bardzo wielka. Z dziesięciu ludzi otaczało główny nadajnik. Dwu radiotelegrafistów siedziało ze słuchawkami na uszach — bez przerwy pisali, aparaty stukały, prąd brzęczał cichutko, pod podłogą popiskiwało. Kontrolki paliły się na wszystkich ścianach. Wyglądało tu jak we wnętrzu wielkiej, międzymiastowej stacji telefonicznej. Telegrafiści leżeli prawie na swoich pulpitych. Byli tylko w koszulkach i spodniach. Mieli spocone twarze — jeden był blady, drugi, starszy mężczyzna z blizną na głowie, wyglądał całkiem zwyczajnie. Pałak słuchawki rozdzielał włosy i blizna była dobrze widoczna. Dwu ludzi siedziało trochę dalej — Pirx spojrzął na nich i poznał w jednym Pierwszego.

Znał go przelotnie. Dowódca Tytana był niskiego wzrostu, szpakowaty, z małą, nic nie mówiącą twarzą. Z nogą założoną na nogę zdawał się obserwować koniuszek własnego bućka.

Pirx podszedł cicho do ludzi stojących nad telegrafistami, pochylił się do przodu i zaczął czytać nad ramieniem tego z blizną:

...„sześć osiemnaście koma trzy idę pełnym ciągiem dojdę ósma zero dwanaście koniec”.

Telegrafista podsunął sobie lewą ręką blankiet i pisał dalej bez przerwy.

„Luna Główna do Albatrosa cztery Aresluna. Czy macie skażenie na pokładzie stop odpowiadajcie Morseem stop fonia

nie dochodzi stop ile godzin możecie utrzymać ciąg awaryjny stop pelengowany dryf zero sześć koma dwadzieścia jeden stop odbiór.”

„Poryw dwa Aresluna do Luny Głównej. Idę pełnym ciągiem do Albatrosa sektor 64 stop. Mam przegrzany reaktor mimo to idę dalej stop jestem sześć miliparseków od punktu zapelengowanego SOS koniec.”

Naraz drugi radiotelegrafista, ten błady, wydał jakiś nieartykułowany głos — wszyscy stojący pochylili się nad nim. Człowiek, który wpuścił Pirxa, podał pierwszemu nawigatorowi zapisane formularze. Drugi telegrafista pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Leżą w dryfie elipsa T 341 sektor 65 stop poszycie kadłuba otwiera się dalej stop grodzie rufowe puszczają stop ciąg awaryjny reaktora 0,3 g stop reaktor wychodzi z kontroli stop przegroda główna uszkodzona w wielu miejscach stop skażenie na pokładzie trzeciego stopnia wzrasta pod wpływem ciągu awaryjnego stop usiłuję cementować stop przeprowadzam załogę na dziób koniec”.

Radiotelegrafiście trzęsły się ręce, kiedy pisał. Jeden ze stojących wziął go za kołnierz koszuli, podniósł, wypchnął za drzwi, sam wyszedł, po chwili wrócił i usiadł na jego miejscu.

— Mai tam brata — powiedział wyjaśniająco, nie zwracając się specjalnie do nikogo. Pirx pochylił się teraz nad starszym, który zaczął nagle pisać:

„Luna Główna do Albatrosa cztery Aresluna. Idą ku wam Poryw sektor 64 Tytan z sektora 67 Balistyczny osiem z sektora 44 Kobold siedem zero dwa z sektora 94 stop cementujcie przeciek przegrody w skafandrach za tarczami przy nadciśnieniu stop podajcie bieżący dryf awaryjny stop”...

Ten, który zastąpił młodego telegrafistę, powiedział głośno: „Albatros!” — i wszyscy pochylili się nad nim. Pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Dryf awaryjny nie opanywany stop wręgi kadłuba puszczają stop tracę powietrze stop załoga w skafandrach stop maszynownia pod roztworem tarcze przebite temperatura w sterowni 63 stop pierwszy przeciek w sterowni zacementowany stop roztwór wrze stop zalewa główny nadajnik stop odtąd będę miał łączność tylko na fonii czekamy na was koniec”.

Pirx chciał zapalić papierosa – prawie wszyscy palili i widać było, jak dym sinymi pasmami leci w górę wsysany zaraz przez wyloty odpowietrzników wentylacyjnych. Szukał po wszystkich kieszeniach i nie mógł; znaleźć. Ktoś — nie wiedział nawet kto — wsunął mu w dłoń otwartą paczkę. Zapalił. Pierwszy odezwał się:

— Panie Mindell.

Ugryzł się w dolną wargę.

— Pełny ciąg.

Mindell wydawał się w pierwszej chwili zaskoczony, ale nic nie powiedział.

— Ostrzeżenie? — spytał mężczyzna, siedzący obok Pierwszego.

— Tak. Ja sam. Dajcie.

Przyciągnął sobie mikrofon na wysięgowym ramieniu i zaczął mówić:

— Tytan Aresterra do Albatrosa cztery. Idziemy do was pełnym ciągiem. Jesteśmy na granicy waszego sektora. Będziemy za godzinę. Próbuje wyjść przez klapę awaryjną. Będziemy przy was za godzinę. Idziemy pełnym ciągiem. Trzymajcie się. Trzymajcie się. Koniec.

Odrzucił mikrofon i wstał. Mindell mówił do interkomu w przeciwległej ścianie:

— Chłopcy, za pięć minut pełny ciąg. Tak, tak – odpowiadał temu, kto znajdował się u drugiego końca przewodu. Dowódca wyszedł. Słysząc było jego głos z drugiego pokoju:

— Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Podajemy ważne obwieszczenie. Za cztery minuty statek nasz zwiększy szybkość. Otrzymaliśmy wezwanie SOS i spieszymy...

Ktoś zamknął drzwi. Mindell dotknął ramienia Pirxa.

— Złap się pan za coś. Będziemy mieli przeszło dwa. Pirx skinął głową. 2 g — to było dla niego tyle co nic, ale nie uważał, że jest czas na przechwalanie się „sną wytrzymałością. Posłusznie ujął poręcz fotela, którym siedział starszy telegrafista. Czytał przez jego ramię.

„Albatros cztery do Tytana. Nie utrzymam się przez godzinę na pokładzie stop włącz awaryjny zaciśnięty pękającymi wręgami stop temperatura w sterowni 81 stop para wypełnia sterownię stop będę próbował przeciąć pancierz dziobowy i wyjść koniec”.

Mindell wyrwał mu zapisaną kartkę spod ręki i pobiegł do drugiego pokoju. Gdy otwierał drzwi, podłoga drgnęła leciutko i wszyscy poczuli, że ciała ich stają się naraz bardzo ciężkie.

Pierwszy nawigator wszedł — stąpał z widocznym wysiłkiem. Usiadł na swoim fotelu. Ktoś podał mu mikrofon na kablu. Miał w ręku zmięty, ostatni radiogram Albatrosa. Rozpostarł go i patrzył nań długą chwilę.

— Tytan Aresterra do Albatrosa cztery — odezwał się wreszcie. — Będziemy przy was za pięćdziesiąt minut. Nadejdziemy kursem osiemdziesiąt cztery koma piętnaście stop



osiemdziesiąt jeden koma dwa stop opuszczajcie statek. Opuszczajcie statek. Znajdziemy was. Znajdziemy was na pewno. Trzymajcie się. Koniec.

Mężczyzna w rozpiętej bluzie mundurowej, który zastąpił młodszego telegrafistę, zerwał się nagle i spojrzał na Pierwszego, który podszedł do niego. Telegrafista zdjął z głowy słuchawki, Pierwszy nałożył je sobie, równocześnie tamten regulował charczący z wysiłkiem głośnik. Naraz wszyscy zdrętwieli.

W kabinie stali ludzie, którzy latali od lat, ale tego nikt z nich jeszcze nie słyszał. Ten, czyj głos wydobywał się z głośnika, zmieszany z przeciągłym szumem, jakby odgradzony ścianą płomieni, krzyczał:

— Albatros — wszystkich — roztwór — sterowni — temperatura — niemożliwe — załoga do końca — żegnajcie — przewody...

Głos urwał się i słycać było tylko szum.

Głośnik zaskrzypiał. Było ciężko ustać — wszyscy jednak stali, zgarbieni, opierając się o metalowe ściany.

— Balistyczny osiem do Luny Głównej — odezwał się silny głos. — Idę do Albatrosa cztery. Otwierajcie mi drogę przez sektor 67, idę pełnym ciągiem, niezdolny do manewru mijania. Odbiór.

Milczenie trwało kilka sekund.

— Luna Główna do wszystkich w sektorach 66, 67, 68, 46, 47, 48 i 96. Ogłaszam sektory zamkniętymi. Wszystkie statki, które nie idą pełnym ciągiem do Albatrosa cztery, mają natychmiast zastopować i postawić reaktory na jałowy bieg oraz zapalić światła pozycyjne. Uwaga, Poryw! Uwaga, Tytan Aresterra! Uwaga, Balistyczny osiem! Uwaga, Kobold siedem zero dwa! Mówi do was Luna Główna. Otwieram wam

wolną drogę do Albatrosa cztery. Cały ruch w sektorach promienia wodzącego punktu SOS zostaje wstrzymany. Zaczniście hamowanie na miliparseku przed punktem SOS. Uważajcie, aby wygasic hamownice na zasięgu optycznym Albatrosa, ponieważ załoga jego mogła już opuścić pokład. Powodzenia. Powodzenia. Koniec.

Teraz odezwał się Poryw — Morsem. Pirx wsłuchiwał się w popiskiwanie sygnałów.

„Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Wszedłem w sektor Albatrosa za 18 minut będę przy nim stop mam przegrzany reaktor chłodzenie uszkodzone stop po akcji ratunkowej będę potrzebował pomocy lekarskiej stop zaczynam hamować pełnym ciągiem wstecznym. Koniec.”

— Wariat — odezwał się ktoś, a wtedy wszyscy stojący dotąd jak posągi poszukali oczami tego, kto to powiedział. Rozległ się krótki, gniewny pomruk.

— Poryw będzie pierwszy — zauważył Mindell i spojrzał na dowódcę.

— Sam będę potrzebował pomocy. Za czterdzieści minut...

Urwał. Głośnik chrypiał i chrypiał, nagle przez trzaski dało się słyszeć:

— Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Jestem na optycznej Albatrosa. Albatros dryfuje w przybliżeniu elipsą T 348. Rufa żarzy się wiśniowo. Świateł sygnałowych brak. Albatros nie odpowiada na wezwania. Stopuję i rozpoczynam akcję ratunkową. Koniec.

W drugim pokoju odezwały się brzęczyki. Mindell i jeszcze jeden mężczyzna wyszli. Pirx miał wszystkie mięśnie jak z drzewa. Boże! Jak chciał tam być! Mindell wrócił.

— Co tam? — spytał Pierwszy.

— Pasażerowie pytają, kiedy będą mogli tańczyć — odpowiedział Mindell. Pirx nie słyszał tego nawet. Patrzył w głośnik.

— Już niedługo — odparł spokojnie nawigator. — Przełączcie mi optyczną. Dochodzimy. Za parę minut powinniśmy ich zobaczyć. Panie Mindell, daj pan drugie ostrzeżenie — będziemy hamowali na overdrive.

— Tak jest — odpowiedział Mindell i wyszedł.

Głośnik zabuczał i rozległ się głos:

— Luna Główna do Tytana Aresterra, Kobolda siedem zero dwa! Uwaga! Uwaga! Uwaga! Balistyczny osiem dostrzegł w centrum sektora 65 błysk o jasności minus cztery. Poryw ani Albatros nie odpowiadają na wezwania. Istnieje możliwość eksplozji reaktora na Albatrosie. Ze względu na bezpieczeństwo pasażerów Tytan Aresterra wezwany jest do zastopowania i natychmiastowego zgłoszenia się. Balistyczny osiem i Kobold siedem zero dwa działają dalej według własnego uznania. Powtarzam: Tytan Aresterra wezwany jest...

Wszyscy patrzyli na Pierwszego.

— Panie Mindell — powiedział. — Zastopujemy na miliparseku?

Mindell patrzył na tarczę swego ręcznego zegarka.

— Nie, panie nawigatorze. Dochodzimy na optyczną. Potrzebowałbym sześciu g.

— To zmienimy kurs.

— I tak będziemy mieli co najmniej trzy — powiedział Mindell.

— Trudno.

Pierwszy wstał, podszedł do mikrofonu i odezwał się:

— Tytan Aresterra do Luny Głównej. Nie mogę zastopować, mam zbyt wielką szybkość. Zmieniam kurs manewrem mijania na połowie ciągu i wychodzę kursem dwieście dwa z sektora 65 do sektora 66. Proszę otworzyć mi drogę. Odbiór.

— Pan odbierze potwierdzenie — zwrócił się do mężczyzny, który siedział przedtem obok niego. Mindell wołał coś do interkomu. Brzęczyki odzywały się nieustannie. Świątełka skakały na tablicach ściennych. Zrobiło się naraz jakby ciemniej — to tylko krew odpływała z oczu. Pirx rozstawił szeroko nogi. Szli na ha-mownicach, wyrabiając zakręt. Tytan wibrował delikatnie, słychać było przeciągły wysoki śpiew silników.

— Siadać! — krzyknął Pierwszy. — Nie potrzebuję tu bohaterów! Mamy trzy!

Wszyscy posiadali na podłodze, a raczej zwalili się na nią. Była pokryta grubą warstwą pianoplastyku.

— No! Co tam się natłucze, nałamie! — mruknął mężczyzna siedzący obok Pirxa. Nawigator usłyszał to.

— Towarzystwo Ubezpieczeń zapłaci — odpowiedział ze swego fotela. Mieli chyba ponad trzy — Pirxo-wi trudno było podnieść rękę do twarzy. Pasażerowie leżeli pewno wszyscy w kajutach — ale co się musiało dziać w kuchniach, w jadalniach, no! Wyobraził sobie palmiarnię. Przecież tego żadne drzewo nie wytrzyma! A na dole! Pełne wagony zbitej porcelany! Nieźle tam musiało teraz wyglądać!

Głośnik odezwał się.

— Balistyczny osiem do wszystkich. Jestem na optycznej Albatrosa. Jest w chmurze. Rufa żarzy się. Kończę hamowanie i wysyłam w przestrzeń ekipy do poszukiwania załogi Albatrosa. Poryw nie odpowiada na wezwania. Koniec.

Przyspieszenie malało. Ktoś pokazał się w drugich drzwiach i krzyknął. Można już było wstać. Wszyscy ruszyli w te drzwi. Pirx wszedł ostatni. Była to główna sterownia. Ekran osiem na szesnaście metrów zajmował całą przednią ścianę — zakłęśły — niczym w jakimś kinoteatrze olbrzymów. Wszystkie światła sterowni były wygaszone. W przestrzeni, na czarnym gwiazdowym tle, poniżej głównej osi Tytana, w lewym kwadrancie tłała cienka kreseczka, zakończona żarzącym się, wiśniowym węgielkiem, jak ognik papierosa. Stanowiła jądro bladego, przypłaszczonego z lekka pęcherza z cieńszymi, rozchodzącymi się na wszystkie strony, kolczastymi wypustkami; poprzez tę kulistą chmurę przecierało się coraz wyraźniej światło silniejszych gwiazd. Naraz wszyscy targnęli się do przodu — jakby chcieli wejść w ekran. Całkiem nisko, w prawym dolnym rogu błysnął między stałymi gwiazdami biały punkcik — i zaczął szybko migać. To był Poryw.

„W reaktorze Albatrosa zaszła nie kontrolowana reakcja łańcuchowa stop mam straty w ludziach stop oparzeni stop proszę lekarzy stop nadajnik uszkodzony wybuchem stop przeciek reaktora stop gotowy do odrzucenia reaktora jeśli nie opanuję przecieku stop” — odczytywał Pirx z miarowo rozbłyskującego punktu.

Albatrosa nie było już widać. Pośród gwiazd wisiał ciężki, bursztynowo-biało-bury kłęb, wypuczony z wierzchu grzywiastymi naroślami. Był coraz niżej i przesuwał się w dolny lewy róg ekranu — Tytan górował nad nim, wychodząc nowym kursem z sektora katastrofy.

W głąb mrocznej sterowni padła długa smuga światła z drzwi kabiny radiowej. Słysząc było głos Balistycznego:

— Balistyczny osiem do Luny Głównej. Zastopowałem w centralnej części sektora 65. Poryw na miliparseku podemną sygnalizuje optycznie straty w ludziach oraz przeciek reaktora, gotowy do odrzucenia reaktora wzywa pomocy lekarskiej, której mu udzielę. Poszukiwania załogi Albatrosa utrudnione skażeniem próżni chmurą radioaktywną o temperaturze powierzchni ponad 1 200. Jestem na optycznej Tytana Aresterera, który mija mnie pełnym ciągiem wychodząc w sektor 66. Oczekuję przybycia Kobolda siedem zero dwa w celu podjęcia wspólnych działań ratowniczych. Koniec.

— Wszyscy na stanowiska! — rozległ się silny głos. Jednocześnie tylne światła sterowni zapłonęły. Zapanował ruch, ludzie szli pod ścianami w trzy strony, Mindell wydawał rozkazy stojąc przy pulpicie rozrządczym, brzęczyki odzywały się po kilka naraz, w końcu sala opustoszała i oprócz dowódcy, Mindella i Pirxa został w niej tylko młody telegrafista, który stał w kącie naprzeciw ekranu i patrzył w rozwiewający się powoli, coraz większy i ciemniejszy bąbel dymu.

— A, to pan — powiedział Pierwszy Tytana, jakby dopiero teraz zobaczył Pirxa, i podał mu rękę. Czy Kobold zgłasza się? — spytał ponad jego głową kogoś w drzwiach radiowej.

— Tak, panie nawigatorze, idzie wstecznym.

— Dobrze.

Stali przez chwilę, patrząc w ekran. Ostatni strzęp brudnej chmury znikł. Ekran był znowu pełen czystej, gwiazdowej ciemności.

— Czy ktoś wyszedł? — spytał Pirx, jak gdyby dowódca Tytana mógł wiedzieć więcej od niego. Ale on był Pierwszym — a Pierwszy powinien wiedzieć wszystko.

— Musiały im się zaciąć blendy — odparł tamten. Był więcej niż o głowę niższy od Pirxa. Włosy miał jak z ołowiu — nie wiadomo było, czy posiwiały tak, czy też były takie zawsze.

— Mindell — rzucił Pierwszy w stronę przechodzącego inżyniera — ogłoś pan z łaski swojej koniec ostrzeżenia. Mogą tańczyć.

— Znał pan Albatrosa? — spytał zwracając się do milczącego Pirxa.

— Nie.

— Kompania Zachodnia. Dwadzieścia trzy tysiące ton. Co tam?

Radiotelegrafista zbliżył się i podał mu zapisany blankiet. Pirx odczytał pierwsze słowa: „Balistyczny do...”

Cofnął się w tył. Teraz jednak przeszkadzał ludziom, którzy co chwila przechodzili przez sterownię, więc stanął pod samą ścianą w kącie. Nadbiegł Mindell.

— Jak tam? — spytał go. Mindell był spocony, wycierał chustką czoło. Pirx miał takie wrażenie, jak gdyby znał go już — od lat.

— Nie najgorzej — wysapał Mindell. — Dostał podmuchem. Chłodzenie reaktora puściło od wstrząsu — to świństwo zawsze leci pierwsze. Oparzenia pierwszego i drugiego stopnia. Lekarze tam już są.

— Z Balistycznego?

— Tak.

— Nawigatorze! Luna Główna! — zawołał ktoś od drzwi radiowej i Pierwszy odszedł. Pirx stał naprzeciw Mindella, który odruchowo dotknął spuchniętego policzka i schował chustkę do kieszeni.

Pirx chciał dalej pytać Mindella — ale nic już nie powiedział, skinął mu tylko głową i poszedł do kabiny radiowej. Gło-

śnik gadał dziesięcioma głosami, statki z pięciu sektorów dopytywały się o Albatrosa, o Poryw, Luna Główna nakazała wreszcie wszystkim milczenie i usiłowała rozplatać komunikacyjny węzeł, który powstał wokół 65 sektora po zablokowaniu otaczającej go przestrzeni, Pierwszy siedział obok telegrafisty i coś pisał. Naraz telegrafista zdjął słuchawki i odłożył je — jakby przestały już być potrzebne. Przynajmniej wydało się tak Pirxowi. Podszedł do niego z tyłu. Chciał spytać, co z ludźmi Albatrosa — czy udało im się wyjść. Radiowiec poczuł jego obecność, podniósł głowę i popatrzał mu w twarz. Pirx nie spytał go już o nic. Wyszedł przed drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO.



**R.E.M.**

**Zaćmienie**

*Prolog*

Czy opowiadałem wam o zaćmieniu na gwiazdowym szlaku Aresterra?

Wiem, nie opowiadałem.

Pytacie: czy było takie zaćmienie?

Tak, było kiedyś takie zaćmienie.

Kiedy?

Bardzo dawno.

Ile dokładnie lat temu?

Zbyt wiele.

**1**

Nie doświadczał jeszcze problemu bezsenności. A teraz nie mógł zasnąć. Przecież nie z przyczyny komfortu posłania.

Czuł, że nie chce. Że sen byłby niezasłużonym przywilejem... Zdziwił się. Czyżby odczuwał ów rodzaj nieznośnego niezadowolenia, jaki zwykle towarzyszy jedynie poczuciu winy? Oczywiście, że przeżywał raz po raz, na nowo tamte zaszłości. Rozumie się, że wyobrażał sobie – na przemian – a to prawdopodobne następstwa tychże we wszelkich wariantach, a to skutki zdarzeń szczęśliwszych, o których jeszcze kilka godzin wcześniej sądził, że hipotetycznie mogłyby zajść, lecz – teraz to już pewne – nie nastąpią; gdyż nie mogą. Wążąc różnorakie „za” i „przeciw”, mimowolnie zapadł się w poszukiwania. Ale nie: wyjaśnienia, a usprawiedliwienia raczej. Jakiego? I dlaczego on właśnie go potrzebował? Przecież tam i wtedy akurat on nie mógł uczynić nic, ale to zupełnie nic.

Bo ktoś musiał popełnić błąd? Bo komuś należy przypisać sprawstwo? Komu? Inżynierowi nukleonikowi na Albatrosie? A może dyżurnemu diagnoście jeszcze w kosmodromie? (Właściwie gdzie to było? Tamten leciał z którejś z baz Marsa. Zaraz, jak to powiedział „pierwszy”? A, tak: Kompania Zachodnia. I co z tego? Ich frachty sięgają stacji około księżyców Jowisza, a może i dalej?... Licho wie... Ale raketę zbudowano pewnie na Ziemi. Więc może budowniczy? Czego? statku? stosu? osłon? systemu ostrzegania?

Taki producent... Co kryje to słowo? Rdzewiejącego robota przemysłowego? Zmęczonego technika-brygadzystę jakiejś huty w Pittsburghu lub Detroit? Jeszcze w latach, gdy oblatywał jednostki patrolowe, bawili się w Bazie w szacunki, ile części statku kosmicznego musi wykazać się niezawodnością, aby zapewnić podtrzymanie życia załogi od startu do lądowania. Dla przeciętnego frachtowca to będzie 70-80 tysięcy (sic!) elementów! Tych ważnych, rzecz jasna. (Dla raket zwiadow-

czych dalekiego zasięgu liczbę kluczowych układów trzeba by podwoić, a co dopiero, gdy idzie o wielofunkcyjne liniowce pasażerskie?!)

A może to był zwykły wypadek? Ale czymże ma być owa z w y k ł o ś ć w rozumieniu przypadku? Ś l e p y los? Czy trzeba mieszać w to biologicznie wykształcone pojęcie ślepoty?! Lepiej już rzec: los. Po prostu.

Mimo całkiem znośnej kubatury, jakby zaczął dusić się w kabinie. Wstał, ubrał się i szybko wyszedł. Samoczynne drzwi zamknęły się bezszelestnie. Korytarz, wyłożony ciepłą wykładziną tłumiał kroki, a jarzył się spod sufitu jasnym granatem. Znowu zabawa barwą światła? Tak, zabawa w pory doby. A że granat? To chyba miała być noc? Niech więc taką będzie. Czyli... bar nocny?

Przeszedł dobrą połowę drogi do szybu windowego, gdy nagle uświadomił sobie, że nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie pomieszczono nocny lokal. (Że był – o! to nie ulegało wątpliwości!). R o z s ą d e k nakazywał zatem powrót do kabiny, w której pozostał połyskujący katalog ze wszelkimi wiadomościami o barach, restauracjach, rozrywkach (i diabli wiedzą, czym jeszcze), dostępnych o danej porze. A dla leniwych na dodatek numer 00-01, a pod nim niezwykle uprzejmy c z ł o w i e k po drugiej stronie linii całodobowej. Jednak nie zawrócił. Nie chciał czynić choćby pół kroku wstecz. Wszędzie, byle do przodu. (Poza wszystkim – też pomyśl! Dzwonić w środku – choćby tylko umownej – nocy i pytać o najbliższy night-club?! Równie dobrze można byłoby powiedzieć: „Dobry wieczór. Jestem samotnikiem. A teraz właśnie mam ochotę urznąć się, albo pogapić na jakąś babkę, no, wiecie, taką fajną, rozumie się... I co polecacie?“. Chociaż właściwie... i cóż by mu szkodziło tak zapytać. Ostatecznie, czy powinien przejmować

się tym, co pomyśli wszechwiedzący i nadskakujący „concierge”. I czy w ogóle coś pomyśli? O kim? O anonimowym nibynocnym marku pośród tysiąca dwustu pasażerów? O podróżnym, którego zapewne nie widział i nie zobaczy? A jeśli nawet kiedyś zobaczy, to i cóż? Żadnym sposobem, nie skojarzy z rozmową. A choćby skojarzył? No, naprawdę: **n i e p o w i - n i e n** przejmować się. Jedyny problem polegał na tym, że jednak się przejmował.)

Z taką myślą doszedł do windy i... proszę! – schemat uproszczony pokładów. Aha, bary nocne; a jakże! dwa na poziomie czwartym, trzy na piątym... osiem (!?) na szóstym. Na widokowym... bar z tarasem. Niedoczekanie! Może jeszcze z panoramą na resztki koszmarnego obłoku, jaki został z...

Żadnych tarasów! Niech będzie... poziom czwarty. A zatem... windą w górę, stylową staromiejską uliczką i w prawo. No, dobrze. Zajrzał... Pub Irlandzki: podchmieleni, spoceni biznesmeni w średnim wieku oraz drażniąco ostentacyjna w zamożności młodzież z zarządów i rad nadzorczych korporacji wydobywczych. Hałaśliwa muzyka. A gdzie w takim razie ten drugi lokal? Chyba tędy. A teraz w... prawo? Nie! – w lewo. I rzeczywiście jest: Piano Bar. Zdecydowanie wolał piano niż forte. (Naszła go dziwna refleksja, że dlatego wybrał życie **t u**, a nie **t a m**. Czy ktoś kiedyś sprawdzał zależność między stosunkiem do harmonii, a odległością miejsca pracy od Ziemi?). Wystrój wnętrza cichego lokalu, jak na Tytana, powiedziała by – skromny, niemal ubogi: niskie stoliczki z jasnego marmuru; zgrabne, kontrastujące kanapy obciążone imitacją skóry; przyciemniona poświata punktowa z sufitu; małe lampki na blatach; w wykuszach ścian podświetlone czarno-białe fotografie Manhattanu.

Wszedł. Na środku półotwarta lada barowa, a za nią dyskretnie żarzące się butelki na półkach. Wszystko proste i eleganckie, jak szklanki i kieliszki. Mimo woli pomyślał, że całe to szkło musi być przecież jakoś przytwierdzone do podłoża (magnetycznie?). Inaczej musiałyby wytluc się kilka godzin wcześniej. A może i poszło! w drobny mak? Czy cała ta bateria nie jest zupełnie nową? Nie, raczej nie; przecież widać, że niektóre karafki są już w części opróżnione. (W końcu złapał się na tym, że myśli o sprawach bez znaczenia i poddał się.)

Dwoje z obsługi było zajętych przygotowywaniem drinków. Z tyłu fortepian; grał mężczyzna. Obok kobieta w długiej sukni, ni to siedząc, ni opierając się o wysoki stołek; śpiewała cicho. Właściwie już kończyła, gdy stanął przy ladzie baru. Skądś pojedyncze oklaski. Rozejrzał się po sali; dużo wolnych miejsc.

Na razie usiadł przy samym barze. Kiedy to właściwie pił ostatnio? Nie chodzi o lampkę wina do obiadu, czy o noworocznego szampana. Kiedy ostatnio naprawdę p i ł ? Na pewno jako egzaminowany kadet, z kolegami, w noc po zdanym teście. Tak. Doznał wtedy przykrego doświadczenia słabości własnego organizmu, w zestawieniu z pochopną dumą świeżo dyplomowanej odporności i sprawności. Później? Też. Raz na Księżycu, gdy utknął na siedemdziesiąt dwie godziny z przyczyny awarii. Ale wtedy był właściwie na służbie. Najpierw, jak głupi, doprowadził się do nietrzeźwości dużą ilością słabego piwa w podłym pokoju koszarowym. A potem wymiotował w poczuciu winy: a nuż naprawią statek wcześniej i zaraz trzeba będzie startować? Czy pił w Patrolach? (Monotonna, śmiertelnie nudna służba; czasu tyle, co bezczynności, a zajęć żadnych.) Wiedział, że niektórzy koledzy zabierali alkohol; były w tej sprawie jakieś zarzuty dyscyplinarne (swego czasu

plotkowano o Wilmerze i Wuertzu), czy nawet może komuś coś udowodniono?... Nie. Nie w jego stylu: za spożycie na pokładzie wywalano ze służby bez pardonu, ale można było i w ogóle stracić licencję...

– Dobry wieczór, czym mogę panu służyć? – młody barman z uśmiechem wyrwał go z toku nieobecnych myśli.

– Tak – odpowiedział niezupełnie sensownie. Po czym zaraz dodał:

– Poproszę o... – i obrzucił pospiesznie wzrokiem półki, poszukując gorączkowo w pamięci własnych upodobań i równając je z wytwornością miejsca, aby wreszcie wyrzucić:

– Bourbon? – zapytał ni to chłopaka, ni siebie. Tamten uśmiechnął się i uniósł brwi („Transgalaktik – sami artyści w swoim fachu”). Pora na męską decyzję:

– Tak, nalej mi bourbonu. Może być ten... no, z Kentucky.

– Służę. Czy z lodem?

Kiwnął głową. Ale nie miał najmniejszego zamiaru zostać tu, przy barze, jak szukający przygód nieudacznik. (Smiga, który w zgodnej opinii całego ich kursu był mistrzem odnajdywania się tam, gdzie go nie zapraszano, wielokrotnie podkreślał: jeżeli nawet przychodzisz sam, udawaj, że czekasz! Nie rzucaj się w oczy i nie rozglądaj! Kto będzie gotów na ciebie, to cię wypatrzy!). Usiądzie więc tam – na tej miękkiej kanapie w kącie, pod zdjęciem Empire State. Poczyta coś. Tak: zapali i poczyta. Najlepiej coś głupiego; kolorowego, łatwego i przyjemnego. „Playboy”? Widział punkt sprzedaży prasy w mijanej uliczce handlowej. O, zaraz tam pójdzie. Tylko zostawi szklankę. Albo nie; niech tamten zanieś. W końcu za to mu płacą... Płacą?! Zaraz!... Wymacał jakieś drobniaki w kieszeni.

– Przepraszam – oderwał barmana od zalewania kostek lodu jasnobrazowym płynem i zapytał niepewnie, nie rozezna-

jąc się w tutejszych zasadach: – A to możliwe, żeby dopisać ten bourbon do opłaty za kabinę?

– Naturalnie. Czy pan będzie jeszcze coś zamawiał? Rozumiem. W takim razie na wszelki wypadek otworzę panu rachunek. Rzecz jasna, uwzględnimy w ogólnym rozliczeniu. Poproszę pana tylko o kartę pokładową.

Oddał kartę i pokazał miejsce, które upatrzył. Przyjął taktowne podziękowanie i obietnicę podania naczynia do stołika. Sam, uprzedziwszy, że zaraz wróci, ruszył w kierunku wyjścia. W przezroczystych drzwiach, rozsuwanych automatycznie, minął dziewczynę. Czy aby... Tak, nie mylił się: inaczej ubrana, ale to ona (ten kamień na dekolcie!). Ile mogła mieć wzrostu. Dobrze ponad sześć stóp. Nie, to obcasy. Czyli naprawdę raczej jego... no, dobrze, może nieco wyższa. W jakim wieku? Dwadzieścia? Dziewiętnaście? A może dwadzieścia jeden? dwa? Przyłapał się na tym, że jego wyobraźnia zaczyna pracować niebezpiecznie i w niestosownym kierunku (prawie minął salonik prasowy!). Zawahał się. No, to niby nic takiego z tym „Playboyem”, ale jednak głupia sprawa: wróci tam sam i nie dość, że noc, to jeszcze mocny alkohol i odpowiednia gazetka na dokładkę... Brak tylko podpisu: „Oto żałosny facet w średnim wieku”. O, nie. Tego tylko by brakowało! Przebierał w czasopismach i wziął jakiś niepotrzebny mu magazyn turystyczny; słońce, plaże, palmy, gwiazdy. (Uśmiechnął się gorzko na myśl, że ze swoją pensją miałyby pławić się w rajach wypoczynkowych. A zresztą, kto wie? Wreszcie, czy nie korzystał teraz z usługi samego „Transgalaktika”? chociaż ani się tego nie spodziewał, ani – po prawdzie – nie było go na to stać.)

Wrócił uliczką w kierunku baru. Już widział siebie: oto siada w kącie stabilny finansowo dojrzały mężczyzna ze szklanką dobrego trunku, zaczytany w luksusowym piśmie o

jeszcze bardziej luksusowych podróżach, a nie zwraca uwagi na atrakcyjne, bądź co bądź, otoczenie. Czy naprawdę tytuł trzymanego magazynu aż tak może zmieniać wizerunek?

Gdy na powrót wszedł do lokalu, odruchowo poszukał oczyma swojego stolika i rozejrzał się za tamtą dziewczyną. Najpierw bał się, że wyszła, jak gdyby jej obecność była rzeczywiście jakąś obietnicą. A potem zobaczył ją i doznał jakiegoś ukłucia w żołądku. Czy dlatego, że jednak była, czy że siedziała z tym młodym, naprawdę pięknym, chłopakiem, błyskającym w uśmiechu białymi zębami i tak zalotnie potrząsającym starannie wypielegnowanymi kruczoczarnymi lokami? Pasują do siebie – pomyślał. I jeszcze ten jego smoking! On nigdy nie miał smokingu. A czaruś nawet tutaj pomyślał o jego zabranii.

Westchnął z niesmakiem i pokręcił głową z politowaniem. Nad sobą. Po co pielęgnować jakieś szczeniackie marzenia?

Usiadł i poczuł się naprawdę głupio. Musiał zapalić. Dym na krótko uniósł się nad stołem, po czym niewidzialną siłą został odciągnięty do ścian, które pochłonęły go bez śladu. Nie zdziwił się. (No, tak – wentylacja i tu niezawodna.) Ogarnęło go naraz dziwne uczucie; był wręcz zawstydzony biegiem własnych reakcji na dziewczynę, że zaczynał aż żałować, jak łatwo przestał rozpamiętywać tragedię Albatrosa... Całe jego ja – ów imperatyw – zaczął domagać się powrotu tamtego współczucia, tamtych obrazów! Na nic; zostały przysłonięte wieczorową suknią, pięknymi oczami i smukłą sylwetką; kwintesencją młodej kobiecości. Zaczął myśleć o tym ostatnim. Kiedy był ostatnio z kobietą? Stenotypistka z „Inteltronu”? (Jak jej było?... Doris? Nie, Daria.) Porażka. Ładna, ale czuł się, jak na egzaminie. I jeszcze ten strach przed niemocą... A to oznacza lęk i



przed, i w trakcie: czy to już ten wiek? Tak wcześnie?! I jeszcze ta lekarka z Nowego Jorku? (Starsza, dojrzała, mądra. Rozwódka. Dzieci odchowane. Apartament na Stronie Wschodniej. Dom w Hamptons.) Poznali się na bankiecie Towarzystwa Astronautycznego. Burzliwy weekend. Wyjazd na Long Island. (Czyli to chyba było jednak przedtem...) A potem jego wylot. I nic; żadnej tęsknoty, żadnych wyrzutów sumienia. Chciał je czuć, bo p o w i n i e n . Ale nie czuł.

Przy „jego” dziewczynie w barze pojawiło się tymczasem jeszcze kilka osób w jej wieku. Towarzystwo mieszane. Wytworni, młodzi i bezproblemowi. Skąd oni mają tyle pieniędzy?

Gdy tak na nią zerkał ukradkiem, zetknęli się wzrokiem. Pomyślał, że papieros w ustach dodaje mu nieco koniecznej nonszalancji, więc delikatnie ukłonił się kiwnięciem głowy i wysilił na nieznaczny uśmiech. Ale nie był pewien, czy ona go poznała. Raczej tak, ale co z tego? (Kim właściwie dla niej był? Facetem z restauracji i tarasu widokowego? Ilu nieznajomych widziała w czasie tego lotu? I dlaczego w ogóle miałyby chcieć przedłożyć jego towarzystwo nad tamtych?) Oszacował w duchu, że jego akcje stoją marnie.

Pewnie dlatego początkowo nie zwrócił uwagi, że wstała od roześmianego towarzystwa i zbliżyła się do jego stolika. Do końca nie był przekonany, czy idzie do niego, czy tylko w tym kierunku. Wreszcie, chyba nieco za późno i zbyt nerwowo, podniósł się, dusząc w popielniczce – niepotrzebnie, zresztą – na wpół wypalonego papierosa.

– Dobry wieczór panu – uśmiechnęła się tak, że zrobiło mu się ciepło pod sercem.

– Dobry wieczór. Miło panią widzieć – wyrecytował. (Skoła Smigi: od początku grzecznie i radośnie, ale bez chamskiej poufałości.)

– Czy pozwoli pan? – podniosła pytająco brwi i spojrzała wymownie na kanapę naprzeciw.

– Ależ... oczywiście, przepraszam, to jest... tak, proszę – zaczął płątać się, zrobił krok w jej kierunku i już miał zamiar podsunąć jej siedzenie, gdy przypomniał sobie, że przecież jest przytwierdzone do podłogi. W końcu uśmiechnął się rozbijając do niej, ale i z powodu własnej niezręczności. A ona, jak gdyby to wszystko nie miało znaczenia, usiadła swobodnie. Usiadł i on. Poczuł, że nastąpiła chwila niezręcznego milczenia.

– Może papierosa? – zagaił. Podsunął papierośnicę i zaraz był zły na siebie, gdyż oczywiście nie przyszło mu do głowy, aby ją jednocześnie otworzyć.

– Ach, nie, dziękuję – odpowiedziała z uśmiechem. Zmrużyła oczy, ściągnęła na chwilę usta, jak gdyby coś wygrzebywała z pamięci, po czym zapytała – Proszę, pana, co się właściwie stało. Powiedział pan, że przyspieszamy. A potem widziałam, że wszedł pan za drzwi dla personelu gwiazdowego. I było to przeciążenie. I ktoś przekazał przez megafon coś o SOS... Mówią, że nawet doszło do jakiejś katastrofy i że musieliśmy ją w ostatniej chwili ominąć. A pan... Przepraszam, pan jest z załogi?

– Nie, proszę pani – odpowiedział „proszę pani”, a naprawdę chciał powiedzieć: „nie, moja piękna młoda dama o”, tylko, że jakoś nie przeszło przez gardło (zawsze podziwiał za tę umiejętność czaru małego szarego Yerkesa. Ale... przecież nic straconego!) – Jestem pilotem, młoda dama o, tymczasem, można by rzec, na krótkim urlopie.

– Ach tak! – zalotnie przekrzywiła głowę. – Więc pilot nie może przestać być nim? Nawet, gdy się bawi?

Spojrzał na delikatne rysy jej twarzy, szczere, uśmiechnięte oczy, usta nieznacznie tylko podkreślone szminką, od-

kryte jedwabiste ramiona i barki, wypiełgnowane paznokcie. Suknia napięła się na jej udzie, a jego długość przyprawiła go o kolejny zawrót głowy. (Chyba jednak dziewiętnaście – pomyślał.) I nagle odkrył, że – choć zwykle dawał sobie radę nawet z rachunkiem różniczkowym – zgubił rachubę przy próbie przyznania się przed sobą do różnicy wieku między nimi.

– Panie pilocie! – przerwała mu nagle tę swoistą analizę wyników oględzin – cóż zatem ustalił pan t a m wśród obcej sobie załogi? A może... – tu szelmowsko przymknęła oko, ściszyła głos i udając, że ją to zajmuje, zapytała:

– Może pan sam osobiście przejął stery tego wspaniałego okrętu gwiazdowego i jedynie panu zawdzięczamy wszyscy nasze marne życie?

Piękna, młodzieńcza, dowcipna i śmiała – ocenił.

– Czyżby to jakaś straszna tajemnica? – dziewczyna dodała, grając głosem, na sposób dowodzący, że wcale w taką możliwość jednak nie wierzy.

Czy miał tej jasnej jak promyk słońca istocie powiedzieć, co widział przez przedni iluminator Tytana zaraz po tym, gdy zostawił ją na tarasie widokowym? Czy powinien opisać wrażenie, jakie wywarł błysk niekontrolowanej reakcji łańcuchowej rozszczepienia cząstek atomowych w próżni? A może wyjaśnić, co stało się wtedy z załogą Albatrosa? Z grupą ratunkową z Porywu? Miał też naśladować piekielny huk pękających grodzi i potworny, a nagle ucięty krzyk płonących ludzi, który wcześniej dotarł radiem? Odegrać twarz telegrafisty, którego brat został t a m , gdy wszyscy już wiedzieli, że pomoc nie zdąży?...

– Moja zaciekawiona i... u r o c z a młoda damo... – zaczął i odkrył, że nadspodziewanie łatwo decyduje się na flirt (Yerkes: ujawniaj swe zainteresowanie na sposób, z jakiego

łatwo możesz umknąć w ironię lub – w najgorszym razie – nawet sarkazm!), po czym kontynuował: – Myślę, że nie ma żadnej tajemnicy w tym, co i tak najpóźniej jutro objawi prasa i poranne komunikaty radiowe; otóż, faktycznie, zdarzyła się katastrofa, lecz daleko stąd i dla nas niebezpieczeństwa nie było w tym żadnego. A moja rola... też żadna. Powiedziałbym raczej: nawyk lub zawodowa ciekawość.

– Dziwny z pana pilot – odrzekła. (Rozczarowana, a może tylko z udanym kaprysem.) I zaraz objaśniła, niepotrzebnie zresztą:

– Poznałam kilku pana kolegów... Z Patroli. Zwykle byli bardziej otwarci. A może pan wcale nie jest pilotem? – znowu ta szelmowska kokieteria. (Czyli jednak flirt? – pomyślał z nadzieją.)

Uśmiechnął się w duchu. Oj, tak. Znał owych „pilotów z Patroli”: pierwszorocznych kadetów Instytutu świeżo po chrzcie orbitalnym albo i nawet przed, a jeszcze częściej – telegrafistów i techników pokładowych, szukających łupów wśród kobiet, oczarowanych własnymi romantycznymi wyobrażeniami o kosmicznych przygodach, zmyślonych jeszcze w czasach ich dziadów i babek. „Mój chłopak jest na Patrolu” – często to słyszał na Ziemi, gdzie brzmiało świetnie (zupełnie inaczej wśród personelu pomocniczego Luny Głównej) i od razu podnosiło rangę samotnej kobiety w oczach zazdrosnych współzawodniczek. Swego czasu dowcipkowało się nawet o biedacze, która po krótkim i – zdaje się – wręcz nieskonsurowanym związku z jednym z takich fantastów (a bodaj, czy to nie był Boerst?!), oprawiła i postawiła na toaletce wycięte z magazynu zdjęcie przystojnego modela – w mundurze, ma się rozumieć – dla uwiarygodnienia rzekomej zażyłości.

Dawno doszedł do wniosku, że naprawdę nie ma nic ciekawego w nieruchomej pustce między nieruchomymi gwiazdami. Roje meteorów poza płaszczyzną ekliptyki? Pierścienie asteroidów, przez które przedzierają się pionierzy – zdobywcy nowych światów? Pirackie napaści? Pościgi za statkami, opanowanymi przez zbuntowane roboty? Ruiny starożytnych cywilizacji? Agenci Obcych?... Co tam jeszcze wygadywano? Bądźmy poważni! – uciął w myślach.

Zdziwił się jednak. Czyżby tu, w cichym kosmicznym Piano Barze spotkał p r a w d z i w y urok i także piękno, które go zniewoliło, choć czuł się wobec nich coraz bardziej swobodnie. Tak, cieszył się. Musiał przyznać, że cieszy się, po prostu – choćby taką niepoważną – bliskością dziewczyny.

– No cóż, mój – (powiedziała: „mój”?! czyż ona nie jest rozbijająca w młodzieńczej śmiałości? – przemknęło mu, nim skończyła) – panie dżentelmenie...

(Zastanowiło go. Czyżby zamierzała sama prowadzić zaproponowaną przez niego grę?)

– ...w każdym razie, dziękuję panu za poświęcony czas.

– Nie, młoda damo; to j a dziękuję. Sprawiała mi pani ogromną r a d o ś ć – odparł wstając z lekkim ukłonem. Zagryzł dolną wargę, aby nie rzec za dużo... (Smiga: bez narzucania się!) A, zresztą, co mu tam! – i rzucił wszystko na jedną (we własnym mniemaniu) odkrytą kartę:

– Proszę pani, nie znam nikogo na pokładzie; czeka mnie tu jeszcze siedem dni rejsu i byłoby mi n i e z w y k l e przyjemnie, gdyby to p a n i znalazła dla mnie c z a s ... jeszcze... kiedyś...

– Pomyślę – odparła przyglądając mu się z wyraźnym (czy życzliwym? – zaniepokoił się) rozbawieniem i po chwili dodała:

– Mam na imię Tess. Tess MacLean – wyciągnęła rękę.

Nie jak dama – pomyślał patrząc jej wyprostowane ramię. Tak, za sztywno! Jak młoda dziewczyna, przedstawiająca się nowo poznanemu rozmówcy. Co za wstyd! – naraz uświadomił sobie – od tego należało zacząć! Chociaż, zdaje się, przedstawił się jej już kilka godzin temu, ale samym nazwiskiem (należałość kadecka) i tak jakoś nijak. Pewnie nie zapamiętała. Uspokoiło go, że teraz to ona uczyniła ten ważny krok. Wreszcie i on mógł podać imię. (Zawsze wolał przedstawiać się nim w kontaktach z dziewczynami, gdyż – jakkolwiek to i jemu samemu wydawało się dziecinne – ciągle wyobrażał sobie, że samo nazwisko wydzwięczy „iksem” i tylko ten „iks” zostanie w pamięci: „Spotkałam wczoraj pana X.” Albo „Rozmawiałam z panem X. Czy ktoś z was może zna pana X?”) Zatem, ukłonił się obecnie z imienia i ścisnął wyciągniętą dłoń, nie próbując nawet zbliżyć jej do ust. A potem jeszcze raz: powtórzył imię, do którego dodał jednak – dla porządku – mniej w tym układzie nieszczęsne:

– Pirx.

– Zatem, ciao.

Patrzył, jak odchodziła. Boska! – westchnął i stwierdził, że nie tylko porusza się pięknie, ale i w tej sukni wygląda nad wiek wytwornie. Było mu obojętne, że – oczywiście – musiała mieć świadomość, że nadal tu będzie stał i śledził jej ruchy, więc nawet nie zdziwiło go, gdy – nie odwracając się – podniosła figlarnie lewą rękę i palcami pomachała mu na pożegnanie.

Dopiero po chwili usiadł. Uf... nawet nieźle mu poszło. Zabrał ze stolika kartę pokładową. Zostawił szklanekę z niedopitym bourbonem i rozpuszczonym lodem. Z dziwnym uczuciem rozkojarzenia dotarł do kabiny. Nie chciał spać. Zapadł

się w marzenia. Co się ze mną dzieje? – pomyślał. – Do diabła!  
W moim wieku?

## 2

– Dzień dobry, dzwonię z kabiny 22-08, czy byłby pan tak łaskaw podać mi numer kabiny pani Tess MacLean.

– Przepraszam, ale w szerokim wachlarzu usług oferowanych przez „Transgalaktik”, sugerowana przez pana mieści się właśnie wśród owej niewielkiej grupy, jakiej regulamin nie przewiduje.

Ale wpadka. No, tak! Jakim prawem śmiał sądzić, że udzieli mu informacji?! („A która to? Aha, ta piękna! Panie! nie pan pierwszy! Zaraz gdzie ona sypia? chyba na trzecim poziomie. Tylko sprawdzę, czy nie siedzi tam teraz kto u niej.”)

– Halo, jest pan jeszcze? – recepcjonista chyba zaniepokoił się tym nagłym zamilknięciem śmiałego pasażera.

– Tak, słucham – odpowiedział, zbity z tropu, na co uzyskał informację:

– Oczywiście my możemy przełączyć pana do panny MacLean.

Tego z kolei nie przewidział.

– Nie. Nie, dziękuję – odłożył słuchawkę zawstydzony.

Po pół godzinie zadzwonił znowu.

– Dzień dobry, tu recepcja, czym możemy służyć? – usłyszał.

– Dzień dobry – odpowiedział – chciałbym zostawić wiadomość dla pani, to jest panny, Tess Maclean.

– Służę i słucham.

- A, czy możliwe byłoby... no, pozostawienie u was listu?
- Naturalnie.
- No, to, dziękuję, będę za kilka minut – zakończył.
- Zapraszamy. Do widzenia.

Podarł jednak chyba z pół tuzina kartek czerpanego papieru sygnowanego „Transgalaktik Tytan”, aby w końcu nakreślić prosty tekst: „Dziękuję za miły wieczór. Zapraszam na kawę. Pirx”. (Smiga zawsze radził: żadnych grubiańskich propozycji, czyli odpada: „Moja kabina to 22-08. Pirx” albo „Zapraszam dzisiaj o 5. po południu tam, gdzie wczoraj. Pirx”.) Jeżeli będzie zainteresowana, odezwie się – taką miał nadzieję.

W godzinę później zadzwonił do recepcji.

- Nie, nie mamy dla pana żadnych wiadomości. Czy pan życzy sobie, aby w takim razie zawiadomić pana? Rozumiem, tak uczynimy.

No, tak! – zdenerwował się, że teraz będzie czekał, jak idiota, kolejne pięć godzin, a może pięć dni!... Co się dzieje, człowieku?! – jęknął do siebie.

Mimowolnie wstał i podszedł do lustra w łazience. Po czym wybuchnął śmiechem. Gapił się na niego jakiś przerażony facet, z zarysowującymi się zakolami wokół przedwczesnych pasemek siwizny, z lekko wypchniętym brzuszkiem i dostrzegalnymi opuchnięciami twarzy i podbiegniętymi oczami. A czego się właściwie spodziewał? Rozregulowany rytm dobowy, brak ruchu w ciasnych pomieszczeniach i przeciążenia manewrowe zrobiły swoje. A tak w ogóle: stary, czyś ty oszalał?! – rzekł na głos do swego odbicia. Wrócił spokojniejszy, choć wypalił jeszcze, jeden za drugim, dwa papierosy. Swoją drogą – zastanowił się – najwyższy czas zadbać o sie-



bie. Czemu nie zacząć od razu? Łaźnia? Bardzo dobrze. Basen? A choćby! Jeżeli nie teraz, to kiedy? W końcu nie ja płacę!

Zaczął przeglądać informator. – Co my tu mamy?... Łaźnie rzymskie? Czemu nie?

I niewiele myśląc wybrał odpowiedni numer. Upewnił się telefonicznie, że ręczniki są do odbioru przy wejściu. Kąpielówki? Tak, może kupić na miejscu, aczkolwiek obsługa ich nie wymaga. (Ach, prawda! – przecież to łaźnie r z y m s k i e . Na męsko-damskie kąpieliska – jak się domyślił – nie przyszła jeszcze pora. Może to i lepiej...) A jeżeli Tess w tym czasie zadzwoni?...

– Do ciężkiej cholery!... Mam naprawdę tego dość! – niemal krzyknął sam na siebie i z trudem powstrzymał się, aby nie uderzyć czołem o lustro.

Wybiegł prawie z kabiny, jak gdyby bał się myśli, które za wszelką cenę chciał pozostawić po wewnętrznej stronie drzwi.

\*

Łaźnia? – doskonała: termy, baseny ciepły i chłodny; naświetlanie lampą kwarcową; kąpiel parowa. Siedział rozluźniony z papierosem i szklanką ginu z tonikiem na tarasie widokowym przy fontannie, w letnim sztucznym wietrze. Ile to wszystko musiałyby kosztować? Bajońską sumę. Nie, tu nie ma miejsca na filantropię – baronowie przemysłu minerałów marsjańskich lubią wygody i płacą słono, aby wypełnić kolorytem odległości, które przemierzają, doglądając własnych fortun.

No właśnie – zdziwił się – a co robi tu o n a ? Że też takie zwykłe pytanie wcześniej nie przyszło mu do głowy. A mo-

głoby być nawet pożyteczne. Co z tego, że w gruncie rzeczy jej pochodzenie i zamiary były mu obojętne. Chodzi o to, że mógł przecież udać zdumienie: „Co taka piękna młoda dziewczyna robiła na Marsie?” albo „Co sprowadza cię na Ziemię samym Tytanem, Tess?” (Toż Yerkes uczył do znudzenia: najpierw słuchaj, potem słuchaj, a na końcu... słuchaj!) A on? Zamiast tego opowiadał jakieś wykrętne głupstwa o... sobie! O sobie?! A cóż o n może obchodzić t a k ą dziewczynę? Ot, po prostu: pasażerka, która jest ciekawa, dlaczego potłukły się talerze i czemu nie mogła tańczyć. Stary głupiec, stary...

– Pan Pirx?

Odwrócił się. A, to ten mały z obsługi łaźni. Czyżby nie zrozumiał, że pasażer n i e życzy sobie masażu. Czy znowu będzie próbował go zmiękczyć tym swoim tęsknym wzrokiem?

– Tak – dlatego odpowiedział celowo oschle z miną zdradzającą zniecierpliwienie.

– Telefon do szanownego pana.

A to go zaskoczył! Zapytał więc już grzeczniej:

– Gdzie?

– Możemy przełączyć tu, znaczy się: do baru albo i nawet przynieść aparacik.

– A kto dzwoni?

Na co tamten rozłożył bezradnie ręce i zaraz zapytał:

– Czy pan szanowny prosi, abym dowiedział się?

W odpowiedzi skinął głową. Gdy masażysta odszedł, zaczęła rozważać, kto może dzwonić i czego chce od niego?

Tymczasem wrócił chłopak:

– Z recepcji proszę pana; jest dla pana szanownego wiadomość.

Przełknął ślinę. Czyżby? Zrobiło mu się ciepłej. Odstawił szklanę i wskazał palcem w kierunku bufetu wystylizowanego w atrium:

– Niech łączą z barem – podszedł szybko do wskazanego aparatu – Pirx, słucham.

W słuchawce uprzejmy głos recepcjonisty:

– Proszę pana, dzwoni panna MacLean. Czy pan życzy sobie, abym połączył rozmowę?

No, doprawdy, pysznie! W rzeczy samej: „intymność – dyskrecja – szczerą ludzką życzliwość”! – uśmiechnął się w duchu na wspomnienie motta, jakim najwyraźniej słusznie szczyił się „Transgalaktik”. Oczywiście był gotów do rozmowy: rozluźniony gorącą kąpielą, ginem i letnim wiatrem... Nie mogło być lepiej! I cóż może zdarzyć się teraz złego?!

– Tak, chętnie, proszę łączyć – powiedział i poczuł, że jednak lekko zasycha mu w gardle.

Chwila milczenia. Jeszcze chwila. Czy już ich połączyli? Powinien chyba pierwszy zacząć? Siłąc się, aby przełamać chrypkę, powiedział nieśmiało:

– Halo, Pirx... to znaczy ja... słucham?

– Dzień dobry, pilocie dżentelmenie!

Poczuł, jak rosną mu skrzydła.

– Ach, dzień dobry moja urocza młoda towarzyszeko podróży! Jak się pani czuje?

Ugryzł się język. Przecież zna jej imię! Po jakie licho zaczął tak oficjalnie?!

– Dziękuję, a...

Przerwał jej teraz świadomie, aby nie popłynęli na manowce tym formalnym torem i przeszedł do swobodniejszej rozmowy:

– Cieszę się, Tess, że zadzwoniłaś. Co porabiasz?

– Właściwie jestem dopiero po śniadaniu. Zabawiliśmy się do świtu. To znaczy aż zapalili różowe światło... A to, chyba... świt?

– Tak, to wspaniale... – odparł, a naprawdę zastanawiał się, z bijącym sercem: z kim (do diabła!) ona się bawiła? A może jeszcze leży w łóżku z jakimś chłoptasiem? Ale uzupełnił tylko:

– Słuchaj, Tess, wybieram się wieczorem do... może do kina... – znów ugryzł się w język. (Do kina?! Co też mu strzeliło do głowy?!) – Albo może dałabyś się, no właśnie, zaprosić na kawę i... byłoby mi bardzo przyjemnie...

– A o której godzinie? Bo, idę na dyskotekę z Markiem i Geeną.

„Z Markiem i Geeną”?... – zadźwięczało mu nieprzyjemnie w uchu. Oczywiście, że nie wiedział, kim są Mark i Geena. Może to ci z tej wczorajszej paczki w Piano Barze? Zastanowił się. Czy ona naprawdę myśli, że mógł to w i e d z i e ć? Nie, tu chodzi tylko o wskazanie miejsca w szeregu. Mogła przecież powiedzieć: idę z przyjaciółmi. Ale wołała podać imiona (i płeć?). W ten sposób zbudowała dystans („Ja ich znam, dla mnie to Mark i Geena. Jak to? Ty ich n i e znasz? Napraaaawdę? Ach, rzeczywiście, nie pomyślałam, ale to tylko dlatego, że j a nie rozważam kogo ty znasz, a kogo nie, gdyż ja w ogóle n i e m y ś l ę o tobie. Jestem tylko grzeczna.”)

Hm – podsumował w myślach tę analizę – czy teraz to aby on sam nie za dużo kombinuje? A gdyby tak zapytać, po prostu:

– Może o siódmej wieczorem?

– W porządku. A gdzie się spotkamy?... – oto odpowiedź prosta i konkretna. Tylko że na takową nie był gotowy...

– Spotkajmy się... – zaczął zastanawiać się gorączkowo, przeciągając słowa. (Z jednej strony nie chciał wskazywać Piana Baru, bo gotowa byłaby zacząć podejrzewać go o ograniczoną pomysłowość, ale – z drugiej strony – w ogóle nie znał statku. A ten Pub Irlandzki? – przemknęło mu przez myśl. Odpada! – zrozumiał – przecież zapraszał „na kawę”). Wreszcie, próbując zyskać na czasie, zupełnie nie w moim zwyczaju, zapytał:

– A czy mógłbym, po prostu, przyjść po ciebie?

– Oczywiście. Mam apartament na antresoli. Poproszę portiera, aby cię nie zatrzymywał.

– Świetnie. Będę punktualnie – odpowiedział zaskoczony.

A to ci historia! – cmoknął po odłożeniu słuchawki.

\*

No, tak. On, który wylatał prawie trzy miliardy (czort wie ile razy osobiście nadzorując cementowanie nieszczelności), on, który (gdy brakło mu papierosów) gryzł paznokcie i już dawno odpuścił wykrobywanie spod nich marsjańskiego pyłu – oddał się właśnie ekstrawagancji manicure i pedicure. Poszedłby i do fryzjera, każąc tuszować początki siwizny, gdyby nie podejrzenie, że Tess przyjrzała mu się wczoraj na tyle, że mogłaby dostrzec tę cudaczną przemianę, a to naraziłoby go tylko na śmieszność. Ostatecznie ogolił się starannie i trochę podciął baczki. Sam. I jeszcze nabył modną wodę kolońską za cenę dosłownie astronomiczną, a że było mu już wszystko jedno z jakim niedoborem środków opuści Tytana, przepłacił również buty na dość grubej podeszwie, aby oszukać własny wzrost o cały cal.

Wracając z łaźni, wynalazł jakąś ni to cukiernię, ni herbaciarnię, ni kawiarnię – całość w stylu kolonialnym. O siódmej cztery – w sam raz żeby być punktualnym, ale nie w stopniu zakrawającym na starokawalerskie dziwactwo – pojawił się na antresoli apartamentów. No, pięknie – pomyślał, niepewnie rozglądając się po wykwintnym marmurowo-drewnianym holu. Starszy, starannie odziany dżentelmen, który mógłby przedstawiać lorda w sztuce teatralnej, z dystynkcją właściwą odgrywanej roli odezwał się:

– Pan Pirx, jak mniemam? – i nie czekając na odpowiedź dodał dość stanowczo – Proszę za mną; panienska MacLean oczekuje pana.

(Brakuje tylko majordoma i służby – pomyślał krzywiąc się, ale oczywiście ruszył, jak mu wskazali).

Apartament robił wrażenie. Z wyłożonego tapetą przedpokoju, pełnego sztucznych kryształów i (być może – prawdziwych) kwiatów, niewielkie drzwi prowadziły w obu kierunkach bocznych; na wprost był otwarty salon, z tego znów przejście do kolejnego pomieszczenia. Ściana kończyła się w jednej trzeciej wysokości i przechodziła w okno zakłęste do połowy sufitu. No, no!

Tess czekała w salonie. Była... po prostu – zachwycająca. W ciemnych wąskich spodniach wydawała się jeszcze wyższa. Poczul, że od samego patrzenia na takie nogi może pomieszać się człowiekowi w głowie. Do tego delikatne buciki na wysokim obcasie. Nagie palce stóp ze starannie pomalowanymi paznokciami. Obcisła jasna bluzka po samą smukłą szyję (bez dekoltu), ale za to bez ramion. Sznurowana z tyłu. Dyskretna biżuteria. Włosy, tym razem jasnoblond. Zatkanęło go.

Ochłonął dopiero w herbaciarni. Wcześniej, po drodze, mówił jakieś głupstwa, których potem nie pamiętał. I miał na-

dzieję, że ona też nie. Skupić się nie mógł, bo gdy szli pasażem, stylizowanym na uliczkę, czuł ciężar odprowadzających, pożądlivych (i zazdrosnych jednocześnie) westchnień wszystkich facetów, jak też nienawistnych błyskawic, miotanych przez kobiety. W tej sytuacji kameralna pijalnia okazała się naprawdę dobrym pomysłem.

– Ależ, oczywiście, że przepadam za herba mate, mój nawigatorze! Czy również za kawą? Ach, to nie mówiłam? Połowę życia spędziłam w Wenezueli! A jakie mają tu ciasto? Cóż, muszę dbać o linię, ale może coś małego... Konfitury?

Dowiedział się, że jest córką gubernatora Teksasu, wnuczką byłego sekretarza stanu, a tradycje służby publicznej w tej rodzinie sięgają bodaj epoki wojen światowych. Tato kupuje – a może sprzedaje? – jakieś złoża, czy rafinerie, w południowej Ameryce. Mamusia ma starą kreolską willę nad oceanem. Tak, Tess oczywiście bywa i w Nowym Jorku. Uwielbia tamtejsze kluby muzyczne i galerie handlowe. Ale wiąże z tym miastem również i inne nadzieje. Tato? Oj, zaraz tam tato! On chce, żeby córka przejęła w przyszłości interesy górnicze. Tak, oczywiście, że studiuje – zarządzanie i prawo. Ale uważa, że najważniejszy jest pokój na Ziemi i rozwój krajów Trzeciego Świata. Tess MacLean będzie urzędnikiem ONZ i to nie byle jakim! O, nie!

Słuchał tego wszystkiego i jednocześnie nie słuchał. Ależ ona ma ciało – kołatało mu po głowie. – Co za usta. I te oczy! Najpierw myślał, że szare. Wczoraj, w barze, jakby zielone. Dzisiaj? Piwne?! Ejże! – niemal wyrwało mu się na głos – Czy dziewczyna nie bawi się kolorowymi szklami kontaktowymi? Przyjrzał się uważnie. Wokół tęczówki delikatny, jak dziesiąta część włosa, obwód. Tak – musiały kosztować majątek.

Pili herbatę ziołową. I kawę. W końcu i przyszło do tego ciasta. (Najważniejsze – cieszył się – przez cały wieczór nie mówiła nic o ż a d n y m chłopaku! Zaczął zastanawiać się, jak ją zatrzymać? Może tak:

– Czy myślisz, że przed zaplanowanym spotkaniem ze znajomymi zdążysz jeszcze pójść ze mną do kina? – zapytał.

Spojrzała na swój piękny naręczny zegarek (brylanty? – najwyraźniej), zmrużyła oko, coś policzyła:

– Dopiero pół do dziewiątej. W porządku. I tak zabawa nie rozkręci się przed północą.

Szli znowu pasażem. (I znów te spojrzenia!) Mała winda. Wreszcie sami. Po raz pierwszy tak blisko. Zaczął tworzyć odważne obrazy. Za bardzo. Na szczęście zaraz wysiedli.

Na poziomie rozrywkowym znaleźli cztery sale kinowe. Co pół godziny początek nowej projekcji. O dziewiątej miało być jakieś mordobicie międzygalaktyczne pod głupim tytułem. Na pewno: nie! O dziewiątej trzydzieści *Niedziela w Nowym Jorku*, a o dziesiątej *Upadek Cesarstwa Rzymskiego*. Tego ostatniego nie widział. Ale miało trwać aż trzy godziny. Właściwie dobrze – stwierdził – niech będzie *Niedziela*. W sam raz.

Bawili się świetnie. Dziewczyna miała doskonale poczucie humoru i piękny śmiech. A jego oczy zaszyły jakąś mgłą. Odprowadził Tess do apartamentu. Nie narzucał się.

Wracając do siebie analizował każde jej słowo i gest. Prychał, gdy przypominał sobie te z własnych zagajeń i reakcji, które oceniał jako niedoskonałe. Ale tak w ogóle to raczej dał sobie radę... Czy dał radę?! Toż uczynił postęp... – szukał dostatecznego określenia – geometryczny! I naraz spurpurowiał, gdyż mimo woli nasunęło mu się porównanie z kompromitacją, jakiej doświadczył na swojej pierwszej randce... na czwartym roku, z siostrą kolegi... Ech, wolałyby nie pamiętać.



Ale gdy położył się, to miał przed oczyma już tylko Tess. B a r d z o silnie ją sobie wyobrażał. I długo nie zasypiał.

Bardzo długo.

### 3

Czy mogłoby spotkać go większe szczęście? Nie, nie mógł wyobrazić sobie błogości bardziej ujmującej od tej, w jakiej zaspokajał własne pragnienia związane z panną MacLean. Tak! Nie wstydził się tego: pragnął tej kobiety. Był mężczyzną i pożądał jej. Myślał o niej w każdej chwili. Nie chciał świata bez niej! Tak bardzo chciałby zatopić się w jej uśmiechu!...

No, dobrze, wiedział: to tylko fizjologia, warunkowana kształtowanym ewolucją instynktem; to rozluźnienie zawodowe; beztroska, bliska urlopowi; że oszałamia go rytm luksusowego rejsu. Ale co z tego?! – zapytał sam siebie. Czy miał nie oddychać dlatego jedynie, że oddech jest przypadłością wynikłą właśnie z prawideł ewolucji? Czy miał mniej cieszyć się każdym haustem świeżego powietrza?

– Tess, gdybyś wiedziała, jak ja chcę mieć ciebie obok siebie! – westchnął. Bał się głośno myśleć o czymś więcej.

\*

Tego trzeciego dnia nie odezwała się w ogóle i gdy nadeszła noc to najpierw kręcił się po pokoju, potem poszedł do Piano Baru, gdzie oczywiście jej nie było. Znowu do kabiny. Próbował słuchać radia, a potem już tylko chciał upić się na umór. Nawet sięgnął po pierwszą puszkę piwa z podręcznej chłodziarki. A potem nagle przestraszył się, że może właśnie za

chwile zadzwoni Tess, albo – nie daj boże – przyjdzie i zobaczy go w takim stanie. Pozostał więc trzeźwy, co jednak również go nie uspokoiło.

Toteż leżał i rozważał. A może tylko udawał, że r o z - w a ż a ? Nagle zaśmiał się. Potem zaraz był przygnębiony. Oszalałem? – pomyślał z niepokojem. Oszalałem – stwierdził.

#### 4

Czwartego dnia zbudził go telefon.

– Dzień dobry panu, tu recepcja...

– Dzień... – odpowiedział zaspany – a która... proszę... która godzina?

– Już służę... trzecia trzydzieści siedem po południu.

No, ładne rzeczy, pomyślał i odezwał się:

– Tak, słucham.

– Dzwoni panna MacLean. Czy połączyć?

– Eee... nie, to jest, proszę powiedzieć, że nie mogę w tej chwili rozmawiać. Ja... ja, oddzwonię. Tak. To znaczy... za chwilę – wykrztusił nieskładnie.

– Oczywiście przekażę i przepraszam, że przeszkodziłem.

(„Intymność – dyskrecja – szczerą ludzką życzliwość.”)

Poczuł, że nagle w ogóle nie potrzebuje już snu. Jak gdyby w żyły zastrzyknięto mu ładunek energii.

\*

Próbował odtworzyć z pamięci, kiedy ostatnio tańczył? Chyba na balu kadetów. Nie! – na gali „Syntronics” w Bostonie.... Ile to już lat? Pięć? Chyba cztery.

No, dobrze – zaniepokoił się – czy dam radę? Uświadomił sobie, że z roku na rok zmienia się muzyka i styl. Jak na niego – stanowczo za szybko. A tango? Jest bezpieczne. Można improwizować, o ile ma się poczucie rytmu. A on miał (Morse’a czytał ze słuchu na poziomie telegraficznym), więc wystarczy na kołysanie i improwizację. Czyli – tango! (A to jednak oznacza b a l ! Ale skąd wziąć smoking? Armatorzy go zabiją, jeżeli i to dopisze im do rachunku. Lakiery to chyba jednak będzie musiał kupić. Ale resztę można, na szczęście, wypożyczyć. Nie, za frak podziękował. Tak: czarny smoking. Stylista doradzał złotą muchę i takiż pas. Ostatni krzyk mody! On jednak nie był przekonany. No to może srebrzyście-błękitną? Przymierzył. Spojrzał... Może i tak...

Znów wjechał po Tess na poziom antresoli apartamentowej. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy wrażenie smokingu, a może naprawdę wyglądał na osobę godniejszą? – miał wrażenie, że portier ukłonił się niżej i służbiście otworzył drzwi.

Czekała. Pocałowała go w policzek na powitanie.

– To dla ciebie, Tess – wręczył jej bordową różę. Jedną, bez przybrania. Nie chodziło o oszczędność na cenie; po prostu uważał ten kwiat za najpiękniejszy w swej naturze, a jakkolwiek dodatek postrzegął w tym wypadku jako zepsucie.

Młoda dama przyglądała się płatkom. Postawiła kwiat w oknie na tle rozgwieżdżonej panoramy Południowego Krzyża.

– Róża w kosmosie – stwierdziła dość niejednoznacznie.

Usiedli w salonie. Czy ona ma gotową toaletę na każdy dzień podróży? – zdziwił się. (A może są na wyposażeniu apartamentu?) Dostrzegł jej fantazyjne ufryzowanie włosów. Bry-

lantową biżuterię. Nagie plecy i wycięcie w sukni. Bardzo odważne wycięcie. I bardzo wysokie obcasy.

Czy napije się szampana? On? Z przyjemnością. (Właściwie nie chciałby w ogóle ruszać się z tego fotela, tak, aby nie przestawać patrzeć w te piękne oczy.)

– Ty dużo latałeś, prawda?

Kiwnął głową.

– Widziałeś tam różne rzeczy? Dziwne?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się raczej gorzko.

– No tak, ty właściwie nie chcesz mówić o sobie. Ale ja wiem, że mógłbyś mówić długo i nie nudziłabym się, prawda?

– Prawda... k o c h a n i e – powiedział tyle. Sam był zaskoczony, że aż tyle. Nic dodać. Dwa słowa. Oba najważniejsze. Bez wstępu. Bez rozwinięcia. I zapadło milczenie. Siedzieli w tej boleśnie odczuwanej przez niego niezręczności może pięć sekund. A może piętnaście? Postanowił, że coś trzeba zrobić. Natychmiast! Zmienił więc temat:

– Tess, jak się czujesz w tańcach klasycznych? Ja już dość dawno nie tańczyłem...

– Akurat! Pewnie uczą was tego w tej waszej akademii – pogroziła mu palcem w fantastycznym uśmiechu. – Ale nie myśl sobie, że ze mnie taka prowincjuszka! Zaraz się sprawdzimy!

– Zatem, chodźmy. Służę – to mówiąc wstał i zapytał: – Gotowa?

– Gotowa! – zasalutowała ręką.

\*

Pili oboje. Tańczyli przytuleni. Przy bufecie przejechał, niby przypadkiem, opuszkami palców po jej udzie. Przy stole,

szepecząc coś, wtopił oddech w woń jej długiej szyi. Musnął czubkiem nosa jej ucho. Pocałował nieśmiało w policzek.

Róż zwiastował umowny świt. Wracali. Śmieli się i – zaczął się obawiać – czy bodaj lekko nie zataczali. Tess wsparła się silnie na jego ramieniu. W windzie (klatka barbarzyństwa? – naszło go dziwaczne porównanie) znowu odczuł najsilniejsze z pragnień. Oddychał tak, że wydawało mu się, że faluje płatkami nosa. Wręcz pochłaniał zmysłami jej kobiecość. A ona?

– Oj, panie, dżentelmenie? – po swoimu pogroziła palcem.

Minęli portiera, który udał, że nie zajmuje go odmieniony stopień zażyłości i nietrzeźwość wracającej pary („dyskrekcja”).

– Daj mi chwilę – Tess zostawiła go w przedpokoju i zniknęła w drzwiach łazienki.

Czekał w ciemnym salonie. Na wszelki wypadek miał tę magiczną pastylkę. Od razu połknął i popił. Szampanem. Choć – uspokajał się przekornie – na pewno do niczego nie dojdzie. Ale gdyby, to... to przede wszystkim wiedział, że nie wolno mu zawieść. Gdyż nie wybaczyłby tego. Sobie? Nigdy.

Tylko... czy tu i teraz – zadumał się – nie jest, tak naprawdę, sam?

Podszedł do tego wielkiego okna. Mimowolnie zaczął rozwiązywać muchę, która oczywiście postawiła złośliwy opór. (I kto to wymyślił taki węzeł?) Zaczął spoglądać w nieskończoną czerń. Czy to na pewno pustka międzygwiazdnej przestrzeni? – zdziwił się własnym pytaniem – czy raczej ocean odległych lądów i oczekujących gwiazd? Kim jestem? Skąd przychodzę? Dokąd podążam i dlaczego? Czy jestem... pijany? Oczywiście. Zawsze śmiał się z takich wzuszeń i słabości.

Tuż za sobą usłyszał naraz głos:

– Gdzie jest gwiazda Wenus?

Widocznie nie zauważył, gdy wchodziła. Przeszedł go prąd. Coś dławiło w gardle. Nie odwracał się. Okno wychodziło na południową część sfery. Wiedział, że żadnych planet stąd nie dojrzy. (Pomyślał, że z tarasu przedniego na pewno widać Wenus, skoro reklamowano możliwość obserwowania stamtąd zaćmienia Słońca przez tę małą planetkę.) Stojąc w ciemności, westchnął i – sam nie wiedząc czemu – sięgnął do zakamarków młodzieńczych wspomnień, aby drżąc wyrecytować bardzo cicho:

– *Gdybyśmy raz bez lęku w słoneczny krąg spojrzeli, w nim jednym dostrzec można, cień dawny błędnej Wenus...*

Czy ona jest moim przekleństwem, czy boginią? – gardło miał już zaciśnięte. Wiedział, że nie zna odpowiedzi. Zwrócił twarz do Tess. Zaskoczyła go słowami:

– Światłość została przyćmiona przez Boginię Miłości...

Podszedł do niej. Bez słów. Popchnął delikatnie w kierunku bocznych drzwi. Cofnęła się w głąb sypialni, nie spuszczając z niego wzroku. Oddychała ciężko. Splótł dłonie z jej dłońmi i rozkrzyżował na ścianie. Zamknęła oczy. Odchyliła głowę. Dotknął wargami jej szyi. Wodził nosem po jej twarzy.

– Weź mnie – szepnęła.

Wziął.

\*

Czuł, że pokochali się. Że, tamtej nocy – nocy poza ich ziemską miarą czasu, w horyzoncie zdarzeń salonu pod otwartym czarnym niebem, pokochali się wiele razy na

gwiazdowym szlaku Aresterra. Płonął od pocałunków; łykał łyzy szczęścia. Po zbliżeniach zasypiał w niej. Budził się, by być jeszcze bliżej.

– Tess... ja... Tess...

## 5

Nie był w stanie określić, po ilu godzinach i porach doby dotarł w poczuciu nierzeczywistości do swojej kabiny. Nie wiedział, jak długo nie istniał na jawie. Obudził się wyczerpany i rozkojarzony.

Z bólem głowy ocenił, że wyczerpany *d z e n t e l m e n*, nawet w stanie oszołomienia, powinien najpierw pozbierać myśli. Zastanawiał się jak postąpić w powstałej sytuacji? (Co zrobiłby ten nieszczęsny Boerst w swoim najlepszym okresie?) Kwiaty? Oczywiście – kwiaty!

– Halo, proszę o przesłanie ode mnie kwiatów do apartamentu panny MacLean. Słucham? Nie wiem. Bukiet? Tak, tak. Dobrze, zdaję się na panią. Nie, bez „Pirx”. Samo imię. Tak, tylko tyle. Nic więcej.

Nic więcej? O, nie! Pirx uczyni więcej... Zaraz... gdy pierwszy raz rozmawiali tam – wtedy przed wypadkiem, to ona coś czytała. Cholera – zaklął – co to było? W każdym razie – uspokoił się – to już coś: czyli lubi czytać. Przyszło mu do głowy, że trzeba by jej podarować coś osobistego. Ogarnął się jako tako, coś tam wypił w pośpiechu i po chwili znalazł się w filii Byrnes & Noble. Krążył bez pomysłu między regałami. Romans? Banalne – wzuszył ramionami. A zresztą, nie znał się na takich książkach. Takich? Co on w ogóle wiedział o literaturze? Zaczął przeglądać tytuły, przewracać kartki... Conrad?

Uśmiechnął się niepewnie do młodszych wspomnień; tęsknot do mórz południowych, dzikich dorzeczy pełnych tajemnic i do tego niezachwianego przekonania o obowiązku zachowania... Nie, do wiary w o c z y w i s t o ś ć zachowania człowieczeństwa i godności w sytuacjach ekstremalnych...

Oglądając okładki, rozmyślał. Cóż takiego wypchnęło go z Ziemi w tę najdalszą podróż? Jego, który był czystym efektem milionów lat ewoluowania jednostek organicznych w kierunku optymalnego dostosowania do warunków planety, która zrodziła życie? Dlaczego pociągnęło ku o b c e m u i nieprzyjaznemu środowisku? Co chciał sprawdzić? Czego dowieść? A co znalazł? „Na pewno widziałeś t a m różne rzeczy. Czy dziwne? ciekawe?” – jakoś tak zapytała Tess. Nie potrafił tego wyrazić, nie potrafił tego zrozumieć, ale c z u ł , że odpowiedź l e ż y przed nim... Właśnie tam na półce... Ściągnął brwi w rozterce – oto popłynął ku odległym światom, ku szczytom człowieczeństwa, a co znalazł... Czyżby? Nie, to chyba niemożliwie? – d n o ? A jeśli? – zdziwił się. Jeżeli pozostał jedynie osobnikiem gatunku najbardziej łysej i zaciekawionej małpy? Niezmiennie rojącej, że może być czymś więcej. I wcale nie szlachetniejszej przez to błędzenie u bram niebios. Naraz opadło go wspomnienie statku, na którym poznał Bomana i gdzie wydał swój pierwszy wyrok śmierci. (Czy, naprawdę, chcesz wiedzieć, co t a m widziałem, Tess?)

Wybrał lekturę o tytule, którego aż dotąd nie rozumiał, którego znaczenie odpychał latami...

– Tak, na prezent. To droższe wydanie – ponaglał sprzedawczynię i na jej pytanie wychrypiał – Nie, proszę nie pakować.

Wrócił do siebie i dopiero teraz poczuł, jaki jest potwornie słaby. Zamówił śniadanie do łóżka. Objęła go znowu sen-



ność. Głowa mu się chwiała, a ręka drętwiała, aż odkrył ze zdziwieniem, że nieświadomie nadal ściska w niej zakupioną książkę. Spojrzał na kartę tytułową. Wytężył umysł i wyobraźnię. Na nic. Nie umiał zredagować żadnej dedykacji. Wreszcie naszło go olśnienie! Wahał się jeszcze przez moment, a potem pewną już ręką zapisał na pierwszej stronie te same dwa słowa, którymi dawny romantyk nazначył całą tamtą opowieść: *Jądro ciemności*.

Tym razem chciał zasnąć. Bardzo.

## 6.

Minął prawie tydzień, odkąd opuścili orbitę Marsa, umykając – jak by powiedziała Tess – przed bogiem wojny w ramiona matki życia. Pomyślał, że ta przyjmie ich jutro lądowiskiem Ziemi Północnej. On będzie miał całe dwie godziny, aby przesiąść się na samolot do Frankfurtu. Na pannę MacLean będzie czekał odrzutowiec kompanii naftowej z Dallas.

Męczył się z tym wszystkim cały dzień. Rozum podpowiadał mu, że to koniec. Że ona jest taka... młodzieńcza i – co oczywiste, chce żyć tam – na Ziemi. Rodzice zadbają o to, by Tess nie tylko niczego nie zabrakło, lecz aby spełniły się wszelkie jej pragnienia. Ale również i te ich własne. Przedwcześnie postarzały pilot patrolowy? (no dobrze, nawigator) – to w żadnym razie nie jest partia dla ukochanego dziecka. Oczywiście, Tess jest zbyt dumna. Nie, niczego nie będzie chciała od rodziców – „Nie potrzebuję waszej pomocy!” – wykrzyczy. Ale czy w jej życiu naprawdę jest miejsce na to jego? Jedyne przed nią stoi otworem cały świat! Z jakimi możliwościami? Ograniczonymi wyłącznie wyobraźnią! I ten jej

świat będzie domagał się uczestnictwa Tess. Będzie jej pożądał! I ją kusił. I nią zawładnie, najpierw przez czarujących młodych mężczyzn, potem przez obrzydliwie bogatych i wpływowych dżentelmenów, względem których on sam może być tylko mierną i – co gorsze – tymczasową kopia. A zresztą, co o n właściwie jej chce oferować? „Pozdrowienia z Marsa”?, czy „Do zobaczenia na Ziemi za pół roku”? Idiota!

Ale dziś nie chciał być rozumnym nawigatorem. Nie chciał być tym chłodnym praktykiem i analitykiem, który zapewnił sobie jako taką pozycję specjalisty (tu i ówdzie jego nazwisko pojawia się na rynku produktów Zjednoczonych Towarzystw Astronawigacyjnych). Nie zależało mu już na spodziewanych epoletach komandorskich. Pragnął tylko Tess. Dla takiej dziewczyny warto rzucić całą resztę! Tak, cały ten cholerny wszechświat dawnych planów, obecnych układzików i niepewnych prognoz! To nieprawda, że musi być astronautą! Może przesiąść się za stery samolotów. A niechby i pasażerskich! Do diabła! – przyjmie etat choćby w którymś z biur doradztwa nawigacyjnego. Z jego stażem? Oczywiście! I to z pocałowaniem ręki. Wszystko dla Tess!

Dla niej?... Na pewno? – zamknął oczy. – A czyjeż to marzenia chciał naprawdę zaspokoić takim posunięciem? I czymże są one w ogóle, jeżeli nie m a r z e n i a m i właśnie – w dosłownym i jedynym znaczeniu tego słowa? Oto zaprojektował sobie ich oboje przez pryzmat wnętrza apartamentów i sal balowych Tytana. Czy naprawdę pokochał drugiego człowieka? Czy tylko własne pobudzone w poczuciu męskości jestestwo?

Potem znów wybiegł myślami w najbliższą przyszłość; następnego dnia mieli lądować na Ziemi... Wstał z leżaka i odrzucił koc. Na całym tarasie widokowym nie było nikogo. Na-

wet żadnego z dziwacznych staruszków. I znów był sam. Wpatrywał się w przestrzeń, przekraczając granice wzroku i wyobraźni za ogromnym szklanym ekranem. I długo spoglądał w tę próżnię Wszechświata... A może jednak... w ocean gwiazd? oczekujących, odległych i nieodgadnionych.

*R. E. M.*

## **Emanuelle Vytausdóttir**

### **Ares i Terra**

#### ***Prolog***

Nie zapytam was, czy czytaliście moją autobiografię. Nie dlatego, abym była pewna takiej, czy innej odpowiedzi lub by nie zajmowało mnie zagadnienie poczytności tego (powstałego na marginesie mej popularnej twórczości – acz nie marginalnego dla mej popularności) czytała, a temu jedynie, by od autobiografii rozpocząć moje wyznanie. Dość bowiem powiedzieć, że ja ją przeczytałam. I już wiem, że powstała stanowczo za wcześnie, abym dziś podpisała się pod nią. Nie, nie zaszły w ciągu tych ostatnich dziesięciu lat żadne istotne zdarzenia wymagające suplementu, chyba żeby za takowe uznać postępujące miażdżycę i złośliwość, przypadłe memu wiekowi. Tak dostojnemu, że cudze powodzenie rozdrażnia nas świadomością, że my owo mamy już dawno za sobą, a cudze ułomności drażnią nas tym bardziej, że nie ma wśród tych jednej choćby, dla jakiej nie znaleźlibyśmy przykładu we własnym, zbyt pokalany doświadczeniem, charakterze.

Moja autoryzowana opowieść o własnym życiu powstała nim osiągnęłam gotowość wypowiedzi o zaszłościach daw-

niejszych, których wagi nie przypuszczałam. A może i prawdziwie oceniałam, że wówczas ważne nie były, lecz teraz u schyłku mych lat stało się inaczej? Nie rozstrzygnę, zresztą, o tym z pewnością, gdyż im jestem starsza, tym silniejsze znajduję upodobanie w przyznawaniu się przed sobą do cech, jakie okazały się wiodące wśród mych postępów, jak też ulegam skłonności dowodzenia, że skoro jednak mam owych słabości świadomość, jestem przecież osobą nad nie się wybijającą. Zespół owych zamykał się w pysze, gniewie i moralnym sadyzmie, z jakich ułożyłam zgrabny trójkąt okoliczności sprzężonych zwrotnie, wystarczający, aby gniewem dodawać sobie sił do samo-pysznienia się w dolegliwym wytykaniu cudzej głupoty. Jednej cechy zabrakło mi naprawdę i dziś – co stwierdzam ze zdumieniem – małym pocieszeniem okazuje się świadomość, że ułomność tę mogę łatwo przypisać miliardom bliźnich. Zabrakło mi współczucia – owej prawdziwej zdolności w s p ó ł o d c z u w a n i a z i n n y m c z ł o w i e k i e m .

Może kiedyś, któryś z mych biografów, o ile będę jeszcze poruszać wyobraźnię przyszłych pokoleń, obnaży ten kompleks, na którym zbudowałam poważanie swej osoby przez współczesnych. Może w tym właśnie, a nie w romantyzmie legendy o demokratycznej panience ze starego republikańskiego domu, odnajdzie klucz do jej skłócenia z rodziną i poniesienia sztandaru, pod jakim burzyła konserwatywne wartości. Nie o tamtym skłóceniu jednak i nie o powszechnie rozpoznanych ścieżkach kariery (podeptanej feministycznymi bucikami), ani nawet nie o podejrzenie wywlekanych tu samooskarżeniach będzie ta opowieść. Odniosę się w niej jedynie do nieznanego zaćmienia, o którym pani Kennedy nigdy nie wspomniała publicznie, bo też nie przyznała się do niego przed sobą wówczas, gdy uczynić to jeszcze mogła bez nara-

zenia się na zarzut, że łatwo przyznać c o k o l w i e k , gdy i tak na w s z y s t k o jest już za późno.

## 1

George Willis III był wymarzonym kandydatem do ręki panienki Tess, o czym rodziny zdecydowały niezwłocznie po uroczystości weselnej córki nowo-meksykańskiego senatora Cornegie'ego, gdy dyskretnym spojrzeniom wujków i ciotek trzech potężnych rodzin nie umknęły znacznie częstsze pobyty dwojga młodych ze sobą, niżby wymagało tego dobre wychowanie, zwłaszcza że o względy każdego z obojga dziedziców fortun Południowego Zachodu rywalizowało na parkiecie i przy bufecie po pół tuzina konkurentów nie pozbawionych – przynajmniej gdy chodzi o stronę polityczno-finansową – szans.

Tatuś Tess, wówczas jeszcze senator stanu Teksas (ten sam, który nie zgodziłby się nigdy na zamieszkanie córki w miasteczku akademickim, aby – broń Boże – nie uległa pokusie spotkania nieprzedstawionych rodzinie mężczyzn o niestosownych porach, jak też aby nie mogła ich przyjmować w ogóle i który przemyślnie najął dla niej odpowiedni dom ledwie godzinę autostradą od gmachów uczelni, nie skąpiąc funduszy na opłacenie steranego wiekiem i pociągającego nogą kierowcy, kilku milczących i szpetnych agentów ochrony obojga płci oraz zgorzkniałej gosposi, a wszystko to jedynie dla bezpieczeństwa córki i zapewnienia jej możliwości skupienia się na studiowaniu precedensów prawniczych i mechanizmów giełdowych) – okazał się nadzwyczaj wyrozumiałym rodzicem, gdy niedługo po wspomnianym weselu ona i George oświad-

czyli, że – jakkolwiek wciąż niezaręczeni – zamierzają odbyć wraz z przyjaciółmi rejs nowo oddanym liniowcem „transgalaktika” na modną jeszcze wtedy Czerwoną Planetę, bo wyobrażaną niemal jako nowe Pogranicze z perspektywami przyszłego osadnictwa i wszelkimi tegoż fantazyjnymi konsekwencjami.

Ojciec uściskał młodego Willisa, jak gdyby chciał wyrazić przez to aprobatę dla wszelkich zamiarów, jakie najpewniej miały zostać ujawnione podczas blisko miesięcznej podróży. Z uznaniem przyjął wiadomość, że młodzi będą zajmowali osobne, acz sąsiednie apartamenty, a nawet spojrzał wymownie na matkę Tess, kiwając przy tym głową i wydymając usta, jakby chciał tryumfalnie oznajmić: „Widzisz! – dżentelmen! A nie mówiłem?!”, a żona uśmiechała się i potakiwała, jak to miała w zwyczaju zapewne od chwili poznania swego męża. W każdym razie innej jej Tess nigdy nie widziała. To chyba wtedy przemknęło jej przez myśl: „Ciekawe, jakim ty byłeś dżentelmenem, tato.”

Dziewczyna nie orientowała się w zawiłościach astronomii i astronautyki, niemniej zrozumiała, że z jakichś przyczyn obie planety nie pozostają względem siebie w stałej odległości i podróż na orbitę okołomarsjańską miała trwać dni piętnaście, gdy powrót jedynie tydzień, a w międzyczasie Tytan miał przez trzy doby pozostawać w pobliżu Marsa, z czym wiązała się fakultatywna wycieczka na powierzchnię globu według obowiązkowego programu: przechadzka w skafandrach po kraterze, przelot nad „Twarzą”, wizyta w kopalni i Muzeum Geologicznym oraz oględziny wschodu Słońca nad planetą z wieży widokowej („Słońce weszło nad Czerwoną Planetą. To coś więcej niż tylko dynamika ciał niebieskich z punktu widzenia obserwatora stacjonarnego; to symbol: oto

wschodzi nowy dzień ludzkości, sięgającej wyobraźnią poza granice widnokręgów kreślonych przez wieki...” – piloci wycieczek powtarzali modne slogany, a może – był to pierwszy okres fascynacji Nową Ziemią – rzeczywiście w nie wierzyli?...).

Któż z was nie czytał opowieści, osadzonych w czasie płynącym leniwie wśród miejsc luksusowych, gdzie wytwornym rytmem w eleganckich słowach akcja krok po kroku zmierza do finału pośród gorących oddechów kochanków. Ominę więc to wszystko, co i tak możecie sobie wyobrazić, albo poczytać w pierwszym lepszym romansie. Dość wzmiankować, że obsługa „transgalaktika” czyniła wszystko, aby pasażerowie pierwszej klasy realizowali schematy zaczerpnięte z powieści, pisanych w wytwornej konwencji niestrudzenie przez kolejne pokolenia anglosaskiej beletrystyki.

Dlatego przejdę do rzeczy i powiem tyle, że – wbrew przekonaniu ojca – Tess nie była dziewicą. A George okazał się chamem. Czy Tess go kochała? Była przekonana, że tak. Która z nas, zresztą, nie była w takim opętaniu. Nie odpowiadajcie. I tak wszystkie wiemy, że otrzeźwienie przychodzi stanowczo za późno.

## 2

Domyśliliście się? Tak, to ja byłam tą głupią dziewczyną. Dlaczego kochałam George’a? Ano właśnie dlatego. Dziwne rzeczy robimy z miłości. Nienawiść jest może najmniej niezwykła. A zemsta? Zwykła. I banalna.



– Już nigdy więcej tu nie przyjdę! – wykrzyczałam i rzucałam mu ten kamyk. Płakałam całą noc. Ale w swoim apartamencie. I sama.

\*

Telefon przy łóżku zadzwonił zaraz po tym, jak go włączyłam. Według czasu pokładowego było już po południu. Myślałam, że to on. A to jednak z recepcji. Pirx? Musiałam zastanowić się dobrą chwilę. Ach tak. To ten niby-pilot. Śmieszny facet.

– A pan Willis nie zostawił wiadomości? – dopytywałam się. – Może po prostu od George’a? Żadnych? Od nikogo innego?

Postanowiłam się z nim rozmówić. Nie może mnie tak traktować! A przecież to ja miałam rację! Jak on śmiał spojrzeć na tamtą dziewczynę! Cholerna lalucha! A co mnie obchodzi, jakie ona miała oprawki od okularów! Jeszcze ta ruda stara lampucera! Wstydziłaby się na dyskotekę w tym wieku!

Ale George’a nie było w jego apartamencie. Zadzwoniłam do Geeny i Marka. Tak, spotkali go przy śniadaniu. No i? No, co mówił o mnie? Jak to? nic?! Aha. No, a gdzie poszedł? Do klubu sprawnościowego?

Poszłam tam. George Willis III dżentelmen na sali ćwiczeń! Boże, jaki on piękny! Napinał muskuły. Pot kreślił linię kręgosłupa, a loki spadały na opaskę czoła. A ta – co znowu! Mów! co za jedna?! Nie udawaj głupiego! No, ta z którą gadałeś! Oczywiście, że ją poznaję. I co z tego, że była na dyskotecce! Jak sobie chcesz!

Nie pamiętam, którądy dotarłam do windy. Przed portierem nawet nie ukrywałam łez. Nie, nie życzę sobie – nie-

grzecznie odpowiedziałam na jego usłużną gotowość wszelkiej pomocy.

Gdy uspokoiłam się trochę, to znowu zadzwoniłam do Geeny. Był tylko Mark. Powiedział mi, że poszła do fryzjera. M u s i a ł a m z nią natychmiast porozmawiać. Więc też tam poszłam. Ale ona siedziała pod suszarką i nie było jak. Trzeba czekać. Poczekam. Godzinę? Czy życzę sobie ułożenia włosów? A właściwie to tak! I chcę być dzisiaj blondynką! Czekaj – pomyślałam o George’u – jak mnie zobaczysz to zrozumiesz, co tracisz!

Potem poszliśmy z Geeną na kawę. Wyżaliłam się. Słuchała. Umówiliśmy się na disco. No, chyba, że ta świnka wcześniej padnie do nóg, obsypie kwiatami i powie, że tej nocy nie wychodzimy. Z łóżka.

W holu antresoli apartamentowej portier przekazał mi list. Od pana Willisa! Nie dziękując nawet, rozerwałam drżącymi rękoma kopertę. „Jesteś śmieszna”. Odwróciłam kartkę. Nic. Tylko tyle. Spojrzałam na portiera. Musiałam wyglądać naprawdę śmiesznie.

Byłam wkurzona na George’a. Zadzwoniłam do tego Pirxa i przyjął zaproszenie. Nawet mnie zaskoczył. Bo był akurat na basenach. Gdy go spotkałam pierwszy raz w na tarasie widokowym, byłam po kłótni z m o i m i w ogóle ani nie zwróciłabym na niego uwagi, ani bym go nie zapamiętała, gdyby nie to, że jak w końcu zapytałam go, czy czuje zmianę ciężkości, to zostawił mnie i bez słowa „do widzenia” zniknął tuż przed ogłoszeniem alarmu. Nawet myślałam, że miał coś wspólnego z całym tym zamieszaniem. Potem, jak już nam pozwolili rozpiąć pasy, a służba wzięła się do porządkowania apartamentów, to znowu spotkałam go, tym razem w Barze,

ale nic, a nic nie chciał wyjaśnić. Dziwny facet. Powiedział, że jest pilotem, ale nie miał nic w sobie z tej męskiej śmiałości, jaką miał choćby kadet Ian, przyjaciel Marka, który był przecież sporo młodszy.

A zresztą mało mnie to obchodziło – jak chce ze mną pogadać, to proszę. A najlepiej żeby zobaczył mnie wtedy George! (Jednak byłoby dobrze, gdyby ten cały Pirx naprawdę był pilotem.) „O, George, pozwól, że przedstawię ci generała Pirxa! – pan Pirx – pan Willis III.” I znowu wróć do rozmowy z tym pilotem jak gdyby nigdy nic! Ha! A potem George cały wieczór będzie zastanawiał się, co mnie łączy z „generałem” i będzie wściekły. I zazdrosny. Tak. Będzie próbował dowiedzieć się czegoś od Geeny. Pójdzie do niej, ale okaże się, że ona jest na dyskotecie. To George tam wejdzie i zobaczy mnie oraz ją przy barze. Będziemy piękne, uśmiechnięte, a faceci będą stawiali nam drinki! A jemu zrobi się głupio, że mógł myśleć, że ja płaczę sama w apartamencie! I będzie mi wdzięczny, że spławiłam samego generała. „Tess, najdroższa – tak powinien zacząć – byłem g ł u p i . Wybacz mi.” A ja mu wtedy tak spojrzę w oczy, jak to tylko ja potrafię i powiem: „Wybaczam ci, k o c h a n i e . Daję ci ostatnią szansę – nie krzywdź mnie więcej.” „Już n i g d y Cię nie skrzywdzę” – odpowie. A potem będziemy się całowali...

\*

Tamtego wieczoru nie spotkałam George’a. Ani po południu, ani wieczorem, ani w nocy. Za to pomyślałam, że ten Pirx naprawdę może być pilotem. Tylko innym niż tamci. Niby gapił się na mnie, jak sroka w gnat. Ale znów nie wyglądał na takiego, który szuka łatwego łupu. Nieśmiały taki jakiś. Z kolei

płacił za wszystko kartą i ani mu przez myśl nie przyszło sprawdzać wcześniej ceny. Tylko że jak wszedł do mojego apartamentu, to aż go lekko zatkało i nie próbował nawet udawać, że wystrój nie robi na nim wrażenia. Jak gdyby nigdy nie widział czegoś takiego. Milioner dziwak – przemknęło mi nawet przez myśl? Może wszystko przeznacza na jakieś akcje dobroczynne, no bo taki jakiś był poczciwy. Może zrobił licencję pilota z nudów. Musiał sporo wiedzieć o lotach kosmicznych, bo jak go zapytałam, czemu tak długo lecieliśmy na Marsa, a z powrotem dwa razy krócej, to bez zastanowienia opowiadał o jakichś opozycjach, czy koniunkcjach. Coś dodał o zboczeniu z kursu przez tamtą przykrą historię i o wyrabianiu jakichś poprawek. Tylko o sobie nic. Na koniec na siłę wyciągnęłam z niego tyle, że już od dawna nie jest kadetem (też mi niespodzianka!), że kilka lat latał na samotne patrole. Że teraz właśnie zawiózł wodę i maszyny na Marsa. Czekałam, żeby coś opowiedział z tych dziwnych rzeczy. Może o jakimś robocie zbuntowanym? A Obcy! Czy widział Obcych?! Uśmiechał się gorzko. Wydawał mi się w t a m t e j c h w i l i zbyt dojrzały. Śmieszne. Bo chłopak miał pewnie nie więcej, niż 35 lat. A może i sporo mniej. Zapytałabym o to wprost, ale jakoś nie wypadało. Gdy tak siedzieliśmy i patrzyłam na niego, to nawet przestał mi przeszkadzać ten jego nos, o którym w pierwszym momencie pomyślałam, że jest zbyt pospolity. I te oczy szare już mi nie przeszkadzały. I ta fryzura niemodna. I marynarka znoszona. Było w nim coś takiego naturalnego. „Jestem tym, kim jestem, nikim więcej. Ale też nikim mniej.” Nie spotykałam takich facetów. W domu ojca wszyscy albo mu i mnie nadskakiwali, albo udawali uległość. Śliskie żmije. Wężowiska pochlebców. (Tak, tylko że jak potem tata miał wylew, a ja przyjechałam pomimo tej naszej wcześniejszej kłótni, to nad ży-

wym już szarpali się o udziały. Zarząd Galaxoil jedną limuzyną słał sekretarza z wyrazami ubolewania i życzeniami powrotu do zdrowia, a drugą sztab prawników, żeby – Boże broń – matka z córką nie podsunęły jakiegoś dokumentu do podpisu.) A Pirx nawet nie był nigdy w Teksasie. I o mojej rodzinie nie słyszał. Z pytań, które mi zadał zrozumiałam, że chyba w ogóle nie zdawał sobie sprawy z pozycji mego ojca. Ani jego władzy. Nie chciał żadnej wizytówki. Nie wyskakiwał z tym „Ach, to twój ojciec! A propos, słuchaj, czy myślisz, że twój tata mógłby dla mnie...” itd. Było w nim też coś urokliwego. No, choćby ta herbaciarnia, którą wybrał. Super! Nie, naprawdę nie spodziewałam się, że mogłoby być aż tak sympatycznie. W końcu i on jakby trochę się otworzył i powiedział, że zwrócił na mnie uwagę już przy pierwszej kolacji. Że siedział gdzieś niedaleko. I że zauważył ten nieszczęsny kamień. Oczywiście nie powiedziałam mu, że otrzymałam go od George’a. Zresztą, nic mu nie mówiłam o George’u – i prawdę mówiąc – czułam, że niezręcznie byłoby mi o poruszać ten temat. Dziwne, ale złapałam się na tym, że zaczęłam go trochę uwodzić uśmiechem i że jak gdyby nie chciałam zrażać informacją, że jestem z kimś. A czy byłam?

Nie wiem, jak to się stało, gdyż w ogóle tego nie planowałam, ale w końcu wylądowaliśmy w kinie. Wybrał komedię, która miała – najmniej – sto lat. Nie przepadałam za starym kinem, ale ubawiłam się świetnie. W tytule było coś o Nowym Jorku. Był tam jeden poczciwy facet i dziewczyna z prowincji, która odwiedziła brata. Oni się poznali na mieście i nawet poszli na randkę. A potem przyjechał prawdziwy narzeczony tej dziewczyny i ona udawała przed nim, że ten nowo-poznany to właśnie jej brat. Ale na końcu pojawił się też i sam brat. No i oczywiście wszystko się tak pokomplikowało, jak w tych sta-

rych komediach. Ale skończyło się dobrze. No, w każdym razie dla tej młodej dziewczyny i tego fajnego faceta. Ubaw, że hej! Prawie z fotela spadłam. A Pirx – ten to się zarykiwał! Jakaś starsza pani za nami tylko wzdychała, a jej mąż chrząkał oburzony, na to nasze zachowanie. Ale co tam! Pryki stare! Szkoda, że na Ziemi nie puszczają już takich filmów. W maturalnej klasie byliśmy w teatrze i grali coś podobnego, ale drażniło mnie, że wszyscy chodzili po pustej scenie wokół jednej kanapy i coś wrzeszczeli, tak żeby publiczność w ostatnim rzędzie też słyszała. Słowem: dno.

Pirx nie pochodził z Nowego Jorku. Tamtejszych klubów muzycznych nie znał. Ale miasto owszem. Powiedziałałam mu o mojej praktyce w Narodach Zjednoczonych na pierwszym roku. Zaskoczył mnie. Orientował się w układzie korytarzy w budynku. Nawet był w tej knajpce na rogu 46. wschodniej i Drugiej Alei, gdzie popołudniami chodziłyśmy z kumpelami na obowiązkowe „cosmopolitany”.

Coś mnie w nim ujęło. Nie wiem. Może właśnie to, że nie nawijał o sobie. O tych swoich patrolach. Zrobiło się tak klawo, że przestałam spoglądać na zegarek i spieszyć się na disco. George? Kocha – to poczeka!

Pirx odprowadził mnie do apartamentu. Sama zaproponowałam, żebyśmy po drodze jeszcze wpadli do jakiejś kafejki na drinka. Rozbroił mnie, gdyż zamówił piwo. Potem pożegnał się grzecznie na antresoli zaraz po wyjściu z windy. Żadnego dawania wizytówki. Żadnych uwag w stylu: „A może jutro...” itd. itp. Słowem żadnego chamskiego narzucania się. Klasa.

Następnego dnia mieliśmy wszyscy oglądać zaćmienie Słońca przez Wenus. Podobno rzadki obraz, zwłaszcza na szlaku marsjańskim. „Transgalaktik” zapraszał pasażerów na taras widokowy pod hasłem „Zobacz jak Światłość została przyćmiona przez Boginię Miłości!” Zadzwoiłam do George’a koło południa. Nikt nie odbierał. Upewniłam się w recepcji. Powiedziano mi, że nie ma go u siebie. Nie wierzyłam. Ubrałam się i poszłam sprawdzić. Naprawdę go nie było. Albo nie otwierał. Pojechałam na taras. Dostałam nawet ciemne okulary. Rozglądałam się za Georgem. Bez skutku. Spojrzałam w końcu – jak inni – w tarczę Słońca. Nic specjalnego. Młody naukowiec coś objaśniał. Nie słuchałam go. George’a spotkałam, za to, gdy szłam na późne śniadanie. Wsiadałam do windy, z której wychodził. W pomiętym smokingu. Z rozwiązaną muchą. Zmieszał się.

– Gdzieś ty się podziewał? Szukam cię od samego rana.

Nie patrzył mi w oczy.

– Spójrz mi w oczy! – gniewnie zażądałam.

– Byłem z kolegami – wystękał.

– Z jakimi?

– Nie znasz. Poznałem na Marsie.

– No to może mi ich przedstawiś, skoro są tacy interesujący, że spędzasz z nimi więcej czasu niż ze mną? – zaatakowałam, gdyż gniew rozpierał mnie coraz bardziej.

– Dobrze, dobrze – odparł na odczepnego, ale nie odczepiłam się.

– Kochanie, pozwól, że zrobię ci ciepłą kąpiel, może zjemy śniadanie w łóžeczku – zaproponowałam chytrze.

Znów zmieszał się.

– Tess, przyjdę do ciebie za chwilę. Musze coś załatwić w swoim apartamencie.

– W takim razie idę z tobą – byłam nieustępliwa.

Wzruszył ramionami.

Ukradkiem zerkałam po jego pomieszczeniach, ale nikt tam nie było. Może naprawdę pił z kolegami? – pomyślałam. Czym właściwie się przejmuję? Ja też byłam wczoraj w kinie z nowo poznanym facetem. Wielkie mi coś!

– Zamówić ci kawę? – zapytałam. Nie odpowiedział. Z łazienki dochodził szum branego tuszu. Powtórzyłam pytanie, tym razem przekrzykując odgłos spływającej kaskadami wody. Znow nic. Próbowałam wejść do łazienki? Zamknięta? Zamknął się? Przede mną?! Zaczęłam stukać w drzwi. Potem coraz mocniej. Na przemian ze strachu i wściekłości. Wreszcie waliłam z całych sił. Wpadłam w histeryczny szal!

– Otwieraj – wrzeszczałam.

Otworzył nagle. Był w samym ręczniku. I przerażony. Zanim się uspokoiłam zobaczyłam ślady zadrapań i ugryzień na jego barkach i ramionach.

Chwilę staliśmy w milczeniu. Zauważył mój wzrok. Zmieszał się strasznie. Spurpurowiał na twarzy.

– Ty świnió, ty chamie! ty... – zaczęłam bić go rękoma po twarzy i piersiach. Nie bronił się.

Wybiegłam z płaczem z jego apartamentu.

Nie próbował mnie zatrzymać.

Resztę dnia nie wychodziłam od siebie.

Nie przyszedł.

Nie zadzwonił.

Nie zostawił wiadomości.



George zaprosił mnie na bal. Oficjalnie. Przez portiera. Biletem wizytowym. W ramach przeprosin. Biłam się z myślami cały dzień. Nie wiem, co się stało, ale przyjąłam w końcu inne zaproszenie. Od Pirxa. Na randkę. I jeszcze sama odpowiedziałam tamten bal. Chyba szatan jakiś wstąpił we mnie, tak jak wtedy, kiedy jako mała dziewczynka specjalnie wbiegłam na golasa do salonu, kiedy gościł u nas były Prezydent Stanów Zjednoczonych, a tata zabronił wychodzić z sypialni.

I teraz postanowiłam też zaszaleć. Kupiłam taką suknię, na jaką nigdy nie pozwoliłabym sobie przy rodzicach. Myślałam o jedwabnych pończochach „walforda” z koronkową gumką, które tak kręciły George’a, ale w końcu oceniłam słusznie, że są zbyt prostackie i zostawiłam gołe nogi na trzy i pół-calowych szpilkach. Fryzjerce kazałam zrobić się na damę.

Czy zakładałam, że pójdę do łóżka z moim pilotem? Jak zwykle udawałam, że nie, ale też nie bałam się tego.

Zaskoczył mnie. Smokingiem. Było coś stosownego w tym zestawieniu jego szarych lekko rozbawionych oczu, z powagą aksamitnej czerni i szlachetnej bieli. Młodszy mężczyźni nigdy nie będą tak naturalnie nosić smokingu, a starsi zawsze będą w nim wyglądali jak cyrkowe małpeczki. On był idealny. Pomyślałam, że chyba nie doceniałam go.

Po raz drugi zaskoczył mnie burgundzką różą. Prawdziwą różą w kosmosie! Musiała kosztować majątek. Wydał go by sprawić mi chwilową przyjemność. Nawet nie mógł liczyć, że kwiat przetrwa do końca rejsu. Romantyk? I co za smak!

Poczęstowałam go szampanem. Przyjrzałam się jego twarzy. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że bywał już na krańcach znanego nam wszechświata. Że może ryzykował życie patrolując jakieś trasy zagrożone uderzeniami meteorów, że pewnie gubił się w jakiś chmurach gazowych wokół pier-

ścieni asteroidów, że woził zaopatrzenie do zapomnianych stacji badawczych, gdzie czekali go miesiącami, że setki, a może tysiące razy startował, lądował, że wydawał rozkazy, że dbał o bezpieczeństwo ludzkości. Taki zwykły milczący facet...

– Ty dużo latałeś...– pomyślałam na głos, aż głupio mi się zrobiło, że tak mimowolnie ujawniłam tok własnych rozważań. No, ale tak było – Prawda? – dodałam, aby wybrnąć z tej niezręczności. – Widziałeś tam różne rzeczy? Dziwne?

Zawstydził się. I ja też. Swojej niedelikatności. Zrobiło mi się przykro. Próbowałam jakoś załagodzić sytuację i dać mu do zrozumienia, że szanuję powody jego skrytości, te tajemnice, a może i jakieś okropności:

– No tak, ty właściwie nie chcesz mówić o sobie.

I od razu przestraszyłam się, że może potraktować to jako zarzut, więc uspokoiłam go:

–Ale ja wiem, że mógłbyś mówić długo i nie nudziłabym się, prawda?

Wtedy zaskoczył mnie po raz trzeci, bo odparł krótko:

– Prawda, kochanie – po czym znowu zamilkł. A zaskoczył mnie, nie tym milczeniem, ale że tak spojrzał mi przy tym w oczy, że aż mi się zrobiło słabo. I do tego spojrzenia to już nie trzeba było nic dodawać. Odczułam to fizycznie, jak uderzenie gorąca w żołądek. Chciałam powiedzieć cokolwiek, a może i coś konkretnego, aby przerwać tę – odczuwaną silniej przeze mnie – niezręczność, wynikłą, rzecz jasna, z mojego niedoświadczenia i zaskoczenia. Trwało to chyba minutę. A może i trzy? Postanowiłam, że coś trzeba zrobić. Natychmiast! Czułam, że czerwienieję i duszę się, tak że kiedy on nagle dobitnie rzekł:

– Tess...

To serce podskoczyło mi do gardła i nie wiedziałam co się ze mną dzieje.

– Jak się czujesz?... – zapytał. A czułam się dziwnie.

Potem on ni stad, ni zowąd zaczął się tłumaczyć, że już dość dawno nie tańczył. Jeszcze tego brakowało! – pomyślałam – żeby z powodu mojego zachowania zaczął wycofywać się z towarzyszenia mi na balu!

– Akurat! – przerwałam te jego tłumaczenia – Pewnie uczą was tego w tej waszej akademii!

Pogroziłam mu palcem prawie ze złością. I niech sobie nie myśli – tak mu powiedziałam, że dziewczyna z Południowego Zachodu nie wie, co to walc albo tango!

– Zaraz się sprawdzimy! – ostrzegłam go. Chyba wybaczył mi tamtą słabość, bo od razu wstał i rozkazał, tak właśnie – nie poprosił, a rozkazał:

– Zatem, chodźmy – i jeszcze z widocznym rozbawieniem spojrzął na mnie, służąc ramieniem. Na koniec zapytał: – Gotowa?

Tak jest, mój nawigatorze, pomyślałam. Poprawiłam suknię i zanim podjęłam jego ramię podniosłam słuźbiście własną rękę do czoła naśladując oficerów floty i westchnęłam z widoczną ulgą: – Gotowa!

\*

*„Nie był na balu, kto nie tańczył na Tytanie”.* Trochę biło przesadą z tego hasła, ale „transgalaktik” sływał z przesady. We wszystkim. I dobrze. Sala balowa była dokładnie okrągła. Sięgała samych burt Tytana. I taka wgłębia — stoliki wyżej, a parkiet wpuszczony chyba o pół poziomu. Wyglądała jak wielka, kapiąca od złota taca koloru ecru, obłożona najbardziej

kolorowymi brylantami świata. Faceci w smokingach i frakach z modnymi złotymi lub platynowymi dodatkami. A baby! Dobrze, że kupiłam tę suknię, bo wyglądałabym przy nich jak kocmołuch! Z zazdrością patrzyłam na dziewczuchy na sześciocalowych szpilach. (Ten mój cholerny wzrost! Jak w klasie maturalnej chciałam zrobić wrażenie na Royu, kapitanie naszej drużyny piłkarskiej i założyłam – dumna, jak paw – coś takiego, to potem czułam się jak tyka i tylko czekałam, kiedy padnę z hukiem ku uciesze złośliwych koleżanek. Potem nauczyłam się chodzić na szpilkach, ale również i tego, że dla wizerunku damy zachwianie proporcji jest grzechem większym, niż utrata równowagi.)

Od samej windy prowadził nas kierownik sali, ufryzowany i we fraku, wyglądał jak dyrygent opery z San Francisco, dokąd George zabrał mnie kiedyś samolotem na romantyczną randkę. Ale tamten wirtuoz był odległy i wydawał się automatem odgrywającym swą teatralną rolę przy tym, który był tuż: serdeczny, uczynny, uśmiechnięty – artysta! Stolik dzieliliśmy z pięcioma innymi parami. Pirx zaimponował mi. Nie robiły na nim wrażenia tytuły, ani nazwiska. Rozbroił i mnie, i naszych sąsiadów, a na koniec samego księcia, gdy zwrócił się do niego per „ty” z prośbą o podanie serwetki. Towarzystwo nadskakiwało mi. (Dziadek księcia poznał mojego prapradziadka jeszcze w czasie wojny, gdzie służyli w sztabach armii sojusznicych. A poza tym nie wykluczano, że mój ojciec może być kiedyś pierwszym kandydatem partii republikańskiej w wyborach; jego pozycja w Galaxoil wystarczała za całą resztę.) Książę uklonił się Pirxowi i poprosił o pozwolenie zatańczenia ze mną. Pirx wstał szczerze zdziwiony i odparł tylko:

– Nie mam władzy nad tą młodą damą.

Wszyscy znowu wybuchnęli śmiechem. Książę był świetnym tancerzem. Ach, dziewczyny, dziewczyny! gdybyście dały się – jak ja – poprowadzić w walcu, to nie tylko że nie domyśliłybyście się wieku tancerza, ale też pojęłybyście tę magię muzyki w klasycznym uniesieniu.

Książę okazał się królem parkietu. Ale był też potomkiem królów, którzy rządili kiedyś połową świata i dżentelmenem z urodzenia. Jeden taniec – to jeden taniec. Gdy odprowadzał mnie, to miałam wrażenie, że bardziej on wspierał się o moją rękę niż ja na jego ramieniu. Jednak miał swoje lata, choć zręcznie je ukrywał:

– Zazdroszczę mu – powiedział wtedy. Początkowo nie zrozumiałam, o kim mówi. – To świetny chłopak. Sam chciałem być takim, jak on. Ale zabrakło mi kiedyś odwagi. Dzisiaj jest już za późno – westchnął.

Potem uśmiechnął się do mnie, ale już nie tak gorzko i zapytał z rozbawieniem, o jakie nigdy bym go nie podejrzewała:

– Gdzie go znalazłaś? – dopiero teraz dotarło do mnie, że chodziło o Pirxa. Zanim zastanowiłam się nad sensem tych słów, książę spojrzał mi w oczy i rzekł:

– Dobrze zrobiłaś, moje dziecko. I nie daj się nabrać na całą resztę – wykonał przy tym gest głową w kierunku toalet i brylantów wirujących wokół.

A miały wokół czego; kolacja składała się z dziewięciu dań — nie licząc przystawek. Wózki z alkoholami toczyły się bezszelestnie po szklanych drózkach. Nad każdym stołem paliła się wysoko lampa punktowa. Przy zupie cytrynowej światło było cytrynowe. Przy krabach różowe, z błękitnawym odcieniem. Przepiórki zalał beż, zmieszany z jedwabistą, ciepłą szarością. Czas się zatrzymał.

Książę zaprosił Pirxa do baru na koniak i cygaro. Długo rozmawiali. Potem objął Pirxa ramieniem. Miałam nawet wrażenie, ale nie – musiało mi się wydawać, że otarł łzę.

Muzyka przygrywała. Snuli się kelnerzy.

Chcecie pewnie wiedzieć, jak tańczył Pirx? Zaskoczę was: a jakie to ma znaczenie? Po prostu był. Ze mną.

Myślę, że to się zdarzyło tam i wtedy. Że zrozumiałam. Już wiedziałam, co zajdzie po balu. Nie rozważałam, jak przebiegnie, ale wiedziałam.

Kiedy odprowadził mnie do apartamentu, sama go zaprosiłam do środka. Zostawiłam na chwilę w salonie i udałam się do łazienki. Kiedy wróciłam stał odwrócony plecami. Obok tamtej róży.

Było ciemno. Za oknem gwiazdy. Najwyraźniej patrzył na nie. Zawahałam się czy wypada mi przeszkadzać. Pomyślałam, że musi widzieć tam między nimi coś więcej. Coś, czego zwykły śmiertelnik nigdy nie zobaczy. Staliśmy tak w ciemności parę ładnych chwil. Gdy zaczął wyszarpywać muchę spod szyi, wydał mi się znów mniej tajemniczy, a bardziej ludzki. Przypomniałam sobie, że już dawno chciałam go o to zapytać:

– Gdzie jest gwiazda Wenery?

Przestraszyłam go. Szarpnął nim dreszcz, co bardziej odczułam intuicyjnie, niż dostrzegłam. Może wyrwałam go z jakiś wspomnień. A może akurat coś obliczał...

I wtedy zaskoczył mnie już po raz ostatni, bo naraz wyrecytował:

– *Gdybyśmy raz bez lęku w słoneczny krąg spojrzeli, w nim jednym dostrzec można, cień dawny błędnej Wenus...*

Gdzieś, kiedyś, już to słyszałam... W szkole? Może czytałam. Wśród tych oprawnych w skórę książek w bibliotece brata mojego dziadziusia w Vermont, gdzie tak lubiłam spędzać

wakacje. Przypomniałam sobie, co napisano w folderze i odparłam:

– Światłość została przyćmiona przez Boginię Miłości...

Podszedł do mnie. Zaczęliśmy się całować. Był bardzo silnym mężczyzną. I bardzo nieśmiałym. Chwyciłam go za włosy i zbliżyłam usta do jego ucha. Pragnęłam wpić w nie zęby i krzyknąć ordynarnie „Weź mnie wreszcie! człowieku!” Ale szepnęłam tylko:

– Weź mnie.

Wziął.

\*

Wiem, co chciałybyście wiedzieć! Wstydzilybyście się! Nic więcej nie powiem. Czy byłam wtedy tylko samicą, czy teraz chcę być damą, wychodzi na jedno; samica nie musi tłumaczyć się z niczego; a damie na takie pytania odpowiadać nie wypada.

## 5

Mark nie odzywał się. Za to Geena miała pretensje:

– Płakał. Wyobrażasz sobie? Płakał tu, jak dziecko – przekonywała mnie – No, Mark! – spojrzała na tego, jakby żądając potwierdzenia jej słów. Mark wzruszył ramionami i przytaknął:

– Tak było.

– Powiedział, że cię k o c h a – ciągnęła Geena – że nie wyobraża sobie życia bez c i e b i e , że zrozumiał swój błąd... Tess! S ł u c h a j ! – zauważyła chyba, że mam kłopoty z kon-

centracją. Ale wszystko to, tak się przecież pokomplikowało – Tess, daj m u jeszcze jedną szansę! To w s p a n i a ł y chłopak. Mówiłaś przecież, że...

– Wiem, co mówiłam – przerwałam jej i zagryzłam wargi.

– Tess, jeżeli go teraz odtrąciszesz to popełnisz naj-  
większy błąd w życiu! Nigdy sobie tego nie wyba-  
czysz! I pomyśl o r o d z i c a c h !

Jeszcze ci rodzice! Nie powinna tego mówić! Ale może Geena miała rację?...

– M a m rację, uwierz mi! Tess...

– To c o ja mam robić? – jęknęłam.

– Chodźmy do Piano Baru. Powiedział, że będzie tam czekał. Porozmawiacie, dobrze?

– Dobrze – odpowiedziałam.

Gdy wyszli rozejrzałam się po salonie. Wyglądał jak kwaciarnia. Najpierw zawalono mi podłogę koszami kwiatów od George'a. Potem bukiet od Pirxa. I jeszcze tamta róża w oknie.

Kiedy sama szykowałam się do wyjścia, zaanonsowano Pirxa. Miał w ręku jakąś niedużą prostokątną i płaską paczkę. Myślałam, że bombonierkę. Przyjęłam go w szlafroku w korytarzu apartamentu. Byłam rozstrojona. Nie miałam nawet szkieł. Zobaczył, że płakałam.

– Tess, kochanie... – zaczął. Próbował zbliżyć się do mnie.

– Nie, proszę cię, nie teraz, przepraszam cię, nie mogę –  
łyzy ciekły mi spod przymkniętych powiek, a inne zatykały gar-  
dło i czułam, z usta wykrzywia mi dziecinny grymas.

Pirx też zmienił się na twarzy.

– Czy spotkamy się potem? – zapytał tylko.



- Tak. Ale proszę cię, wyjdź teraz.

\*

George rzeczywiście płakał. Wzruszył mnie. W końcu usiadłam mu na kolanach i całowaliśmy się.

- K o c h a n i e - szeptał - wybacz mi! Zacznijmy z czystą kartą od nowa. Już nigdy cię nie skrzywdzę!

A mi było wstyd.

## 6

Myślałam, że spotkanie z Pirxem będzie łatwiejsze. Ułożyłam sobie w s z y s t k o , co miałam do powiedzenia. Chciałam wybrnąć tak, aby nie czuł się przedmiotem, jaki ozdobił mą samotność przez tamtą jedną noc, a z drugiej strony tak bardzo chciałam, żeby to o n s a m prosił mnie o przebaczenie. Żeby powiedział, że jego żywiołem są te przestrzenie międzygwiazdne, że musi pilnować tych szlaków, że musi ratować ludzkość, że... żeby powiedział cokolwiek!

Spotkaliśmy się na tarasie widokowym. Gdy zobaczyłam czekającego Pirxa, wszystko mi się posypało. Nie byłam w stanie powiedzieć nic. Usiedliśmy. I milczeliśmy oboje. Musiał domyśleć się wszystkiego. Zmarszczył czoło, odwrócił na chwilę twarz do gwiazd i patrząc na jego profil zdawało mi się, że widzę w kąciku jego oka łzę. A może to był tylko odbłask. Potem westchnął i spojrzał w moje oczy. Ale już nie z taką radością jak kiedyś, tylko tak, jak gdyby teraz był odległy o milion kilometrów. Jakby z Marsa patrzył na mnie, na Ziemię. Wtedy ja opuściłam głowę. I znowu popłakałam się.

Wziął mnie za rękę. Nie cofnęłam swojej, ale też nie chciałam poddać się temu dotykowi. Przekonywałam siebie, że to tylko uścisk ręki. Ale bałam się, że jeżeli otworzę własną i takim samym odpowiem, to już nic innego nie będzie liczyło się dla mnie prócz dłoni tego człowieka.

Ukryłam twarz we własnych i popłynęły na nią moje łzy, wielkie, jak krople deszczu.

– Co ja mam, robić – wyszlochałam – co robić?

Siedzieliśmy nadal w milczeniu. W końcu wytarłam twarz chusteczką i spojrzałam mu w oczy. Dobre szare oczy.

– Przepraszam Cię – powiedziałam.

Podał mi tamtą paczkę. Była przewiązana kokardą.

– Już wcześniej chciałem ci to podarować. A teraz... może to właśnie jest ten moment – dodał.

Pociągając nosem otworzyłam paczkę. Była to książka. (Nie pamiętam, kiedy ostatnio dostałam książkę w prezencie. Może w podstawówce? – poradnik „Co każda młoda dama wiedzieć powinna”.) Spojrzałam na okładkę: Joseph Conrad. W elitarnej szkole średniej był na liście lektur. Pamiętałam tytuł. I to, że przeczytałam wtedy tylko streszczenie. Jakaś straszna historia o nierówności między ludźmi i ich okrucieństwie. Nie miałam nawet siły otworzyć.

– Dziękuję – chlipnęłam – Odprowadź mnie już do windy... Albo, nie, ja sama, proszę...

### ***Zakończenie***

Przyjęłam oświadczyzny jeszcze przed lądowaniem. Ślub odbył się niecały rok później. Pierwsze dziecko urodziłam jeszcze na studiach. Skończyłam je, ale nie zostałam Sekretarzem Narodów Zjednoczonych. I nie zapewniłam ani spokoju na Ziemi, ani dynamiki rozwoju krajów Trzeciego Świata. Jeże-

li coś w życiu osiągnęłam, to pewnie właśnie dlatego, że pozwalałam sobie i innym na ucieczkę od tamtych problemów, których trwanie było mi paradoksalnie na rękę, aby wiązać intelektualistów bezwzględną eseistyką i uwodzić masy przez tworzenie eskapistycznych fabuł.

Moje małżeństwo z George'm nie było udane. Teraz, gdy już nie żyje, mogę to powiedzieć otwarcie. O moim drugim mężu, panu Kennedym, nie będę się wypowiadać. Dzisiaj zmieniam reguły: o żywych – wyjątkowo – dobrze albo nic.

Spotkałam wielu mężczyzn. Przed ślubem i po ślubie. Z jednymi sypiałam, z innymi nie. Wśród tych innych nie brakło i takich, o których marzyłam tak, jak to zdarza się marzyć każdej kobiecie w stanach i chwilach, których istnienia żaden mężczyzna nie podejrzewa. O Pirxie nie marzyłam nigdy. W t e d y i t a m miałam go dla siebie, nie wiedząc, co to znaczy. A potem już n i e miałam. Dopiero, wiedząc, że nigdy mieć go już nie będę, pojęłam, czym jest ów brak.

Miłość?

Oszukiwałamby was, gdybym rzekła, że w najpełniejszym znaczeniu tego słowa kochałam tamtego mężczyznę w czasie zaćmienia na gwiazdowej trasie aresterra. Oszukiwałamby siebie, gdybym twierdziła, że kocham go teraz, kiedy jako przedmiot mych uczuć nie może już istnieć materialnie w jakimkolwiek znaczeniu.

I co zrobić z taką miłością? Z uczuciem, zawisłym gdzieś poza czasem, gdyż nie ma ono żadnej przyszłości, nie było go nigdy w przeszłości i nie może żadną miarą spełnić się w teraźniejszości...

Dla niego i dla mnie – dla nas – nie mogę już uczynić nic. Nie spotkam pilota Pirxa, a on nie spotka mnie. Nie powiem mu nic, a on mnie nie usłyszy. Mogę jeszcze uczynić coś dla

was. Mogę wam zostawić obnażoną przez niego część siebie – bodaj po raz pierwszy (a na pewno ostatni) nie czyniąc tego ani w gniewie, ani nawet dla pysznienia się tym, że inni odczuwają potęgę mego intelektualnego wpływu. Mogę również pozostawić wam moje o nim wspomnienie.

Nadal nie wiem, czego ten – po prostu – dzielny i naprawdę wciąż młody wówczas mężczyzna, szukał tam pośród tej pustki, nazywanej zbyt elegancko próżnią, a to chyba tylko dla zapchania wyobraźni przez słowa, które mają jakoś opisać to, na co nawet proste *n i c*, jest określeniem zbyt bogatym. I nigdy się tego nie dowiem, chyba, że od tych jego gwiazd, jeżeli na nowo zacznę wierzyć, że nie są widzianym obrazem fal elektromagnetycznych, mających źródła w odległościach ogarnianych już nie wyobraźnią, a tylko owym rozumem, który z kolei mamił nas przez wieki płaskim obrazem konstelacji.

Nie wiedząc nic, myślałam, czy jednak nie nakreślić jego biografii. Czy nie spisać *Opowieści o pilocie Pirxie*, nieznanym poszukiwaczu niewiadomego, aby choć moim znanym nazwiskiem przyciągnąć uwagę w hołdzie dla człowieka, jakim był. Kilka razy siadałam przy maszynie do pisania. Starłam się przenieść na papier obraz śmierci osamotnionego komandora w jakimś strasznym martwym lesie na krańcu wszechświata. Bez skutku. Ten jeden raz czuję się skromnie bezradna, a uczucia tego nie umiem przezwyciężyć dotychczasowymi motywacjami, a to pychą i gniewem, tym razem niestosownymi wobec bohatera. Od wielu lat wiem, że okoliczności jego śmierci okryła tajemnica, której zapewne nikt nie odśłoni, skoro dotąd się to nie udało. W tym nieskończonym świecie i czasie, gdzie tylko przemijania nie zaprzecza ani rozum, ani doświadczenie, czyż mogę obwinać siebie, że również i ten ostatni z moich zamiarów zakończył się w fiasku?...

*Z islandzkiego przełożył R. E. M.*

### ***Kochanek próżni – postowie\****

*Pirx jest kochankiem próżni, skoro spędza w niej tyle godzin, mimo że to nudy na pudy. Nie jest natomiast kochankiem żadnej kobiety. Całe jego przygody erotyczne to randka z siostrą kolegi z roku – spacer i wytrwałe milczenie. Na randce ma miejsce eksces erotyczny w postaci klepnięcia w tyłek owej wybranki – po czym następuje ucieczka, boć to nie gra w salonowca. Druga przygoda to kontakt, niestety, tylko optyczny, z piękną pasażerką wykwinanego liniowca turystycznego „Tytan”. Do niczego więcej nie dochodzi, gdyż oto wybucha stos na statku „Albatros” w bliskim sektorze próżni i wszyscy spieszą na ratunek. Spieszy także i Pirx, choć będąc w centrum dowodzenia „Tytana”, nikt nie ratuje, a jego obecność nikomu nie przynosi nawet ulgi. Piękna pasażerka znika w pomroce dziejów...*

***Marek Oramus***

## ***Trójkąt na Tytanie – postowie***

*„Albatros” nie należy do opowiadań ulubionych przez Czytelników Stanisława Lema. Nawet ci, darzący szczególnym uwielbieniem stworzoną przez niego postać Pirxa, chętniej wracają do innych przygód bohatera, w których z kadeta wyrasta w pilota, by – rozwiązując kolejne zagadki kosmiczne – nawigować wśród gwiazd ku samodzielnemu męstwu, odpowiedniemu szlifom komandorskim. Sam autor również nie cenił wysoko tamtego krótkiego dziełka, a po latach przyznał, że z całego zbioru opowieści podoba się mu jedynie „Terminus” i „Ananke”.*

*Czy brakuje mi dzisiaj Pirxa? Brakuje. Że lubię zmyśloną postać? A cóż w tym dziwnego? Znam, odkąd pamiętam. Przyzwyczałem się. Pewnie dlatego wybaczam mu wykroczenia (siostra Mattersa), oszustwa (ściągawka Smigi), występki (gra w świnki i wilka), a nawet zbrodnie (zabójstwo Terminusa i samobójstwo Corneliusa). Ach, jakże chciałem towarzyszyć mu w kolejnych wyprawach. Albo chociaż posłuchać nowych gawęd, cudnych, bo podszytych gorzką autoironią w stylu wspomnienia o dowodzeniu Perłą Nocy na zlecenie Le Mansa.*

*Lem nie dał mi jednak takiej szansy. Pilotowi również. Po napisaniu „Ananke” objął bohatera zakazem nowych podróży, a kiedy – wreszcie – dał mu zaistnieć wzmiankę w „Fiasku”, uczynił to, najwyraźniej, po to tylko, aby pozbyć się go ostatecznie, dając pogrzeb bez należnych honorów.*

*A o „Albatrosa” miałem żal największy. Czytałem wielokrotnie. Zawsze pozostawiał niedosyt. Narrator najpierw kilkoma zręcznymi zdaniami rysuje nam obraz wycieczki próżniowej*

luksusowym statkiem pasażerskim. Oszalałam przepychem, nawiązującym oczywiście do legendarnego rejsu Titanica, znów po to tylko, aby zaraz zamknąć się z bohaterem w szaro umundurowanej sterowni i kazać mu zostać świadkiem katastrofy innego statku, jak też nieudanej akcji ratunkowej. Opowiadanie wieńczy zdanie: „Wyszedł przed drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO”. I tyle. Tak kończy Lem. A czy nie mógłby od tego, prawda, że tragicznie, niemniej – zacząć przygody na szlaku Ares – Terra. No, dobrze – pasażer wyszedł ze sterowni. No, miał nadal w oczach śmierć tamtych. I nieznośne poczucie bezsilności. I... co dalej? Tego się już nie dowiemy. Od Lema przynajmniej. A przecież rejs miał trwać jeszcze tydzień. „Przez siedem dni może się stać mnóstwo rzeczy” – myśli tam Pirx.

Niech więc potrwa jeszcze kosmiczna przygoda Titanica, pomyślałem ja. Wyciągnąłem ciało Pirxa spod zwalów saturnowego księżycy, nomen omen noszącego nazwę zbieżną z imieniem tamtego liniowca pasażerskiego, po czym kazałem ożyć i wrócić na sześć nocy, i tyleż dni na jego pokład. Zmusiłem do powrotu na tarasy widokowe. Na wytworne parkiety sal balowych. No i do przerwanej rozmowy z sąsiadką. A reszta... należała już tylko do bohatera.

Tak narodziło się „Zaćmienie”. Że plagiat? Wolę określić: dzieło powstałe z inspiracji cudzym utworem. Niedopuszczalne? Przeciwnie – dozwolone. A po upływie lat pięćdziesięciu od stworzenia postaci Pirxa i ona – co zresztą mnie nie cieszy – przestaje korzystać z ochronnego klosza nałożonego jej przez ojca.

Wariacja literacka wykorzystująca cudzy pierwowzór nie jest, rzecz jasna, moim wynalazkiem, że wspomnę tu głośną kontynuację „Przeminęło z wiatrem”. O zawodowym przerabianiu

zakończeń cudzych dzieł dowcipkował, zresztą, sam Lem w „Dziennikach gwiazdowych” („Podróż dwudziesta ósma”). A i wcześniej zdążono na dziesiątki sposobów wykorzystać wątki oraz postaci największych powieści, wśród których „Wyspa skarbów” Stevensona okazała się ziarnem zapładniającym bodaj najliczniejsze grono naśladowców. (Dość wymienić dawniejsze „Złoto z Porto Bello” Smitha, „Powrót na Wyspę skarbów” Calahana, czy „Przygody Bena Gunna” Derdelfielda, a ostatnio znów „Powrót na Wyspę skarbów” Judda, czy – wreszcie – „Długiego Johna Silvera” Larssona.)

Po napisaniu „Zaćmienia” w przedłużeniu oryginalnego „Albatrosa”, przyszło mi na myśl, że historia tygodniowego rejsu mogłaby zostać spotęgowana bogactwem wzruszeń i wyobraźni przez lustrzane opowiadanie owej sąsiadki, którą tak upodobał sobie nasz bohater. W ten sposób powstałaby – w co uwierzyłem – wyjątkowa trylogia, na kształt trójkąta, którego podstawę stanowi narracja samego Lema („Albatros”), a boki dwie relacje o tych samych zdarzeniach, dane przez mężczyznę („Zaćmienie”) i kobietę (temu projektowi dałem tytuł roboczy „Ares i Terra”). Pomysłem podzieliłem się ze znajomą poetką, a on sam wydał mi się na tyle ciekawy literacko, że zacząłem coraz silniej naciskać ją, aby – jako kobieta-pisarka – wczuła się w rolę Tess McLean, za czym w formie odkobiecej narracji pierwszoosobowej spisała dzieje romansu z Pirxem. Oczywiście postawiłem upatrzoną autorkę w sytuacji dość niezręcznej, gdyż ani specjalizowała się w beletrystyce, zwłaszcza fantastyczno-naukowej, ani rozeznawała w osobliwej konwencji lemowskiej.

Coraz bardziej zniecierpliwiony brakiem urzeczywistnienia własnego pomysłu, na koniec zaś – nieprzekonany do otrzymanego „poetyckiego” obrazu „Aresa i Terry”, stałem się – niczym Wyspiański na potrzeby „Wesela” – przymusowym wy-



*konawcą zamysłu literackiego zdradzonego przyjaciółce. I jak tamten artysta z konieczności zamienił pędzel na pióro, tak ja, odmieniwszy płęć (dla uwiarygodnienia nowej osobowości przetłumaczyłem nawet swą kobiecą tożsamość na język islandzki), napisałem sam „Aresa i Terrę”, rysując brakujący bok zamysłonej figury. Posiłkowałem się, przyznaję, zwłaszcza we wstępie, napisaną w konwencji autobiografii, a niedocenioną, bodaj najwybitniejszą powieścią samego Lema, której tytuł odgadną zapewne jego znawcy. Resztę wypełniłem wypranymi wzorcami z popularnej literatury romansowej, którą wręcz pochłonąłem na potrzeby przygotowania ramy fabularnej, narracyjnej i dialogów.*

*Własne, powstałe w ciągu jednej nocy, opowiadanie o Aresie i Terze, wydało mi się jednak ciekawsze i lepiej osadzone w świecie lemowskim, niż tamto, napisane przez – notabene wyjątkowo zdolną – polską poetkę. Czytelnicy mogliby być jednak zdania odmiennego – nemo iudex in causa sua. Dlatego, ukrywając ową alternatywną wersję tego samego romansu, której przewaga genetyczna wyrażała się w stworzeniu przez kobietę, nie pozostawiam wyboru, wymuszając - prawem gospodarza – przyjęcie tego, co sam przyrzadziłem. Wybór nie należy więc do Ciebie, Czytelniku...*

*Tylko Ty jeden, Staszku, mogłeś go dokonać w czasie Tobie przeznaczonym i skorzystałeś z przypisanego Tobie (i tylko Tobie!) prawa autorskiego, gdy nie rozwinąłeś wątków pożądanych przez niektórych z Twoich Najwierniejszych Czytelników. Twój wybór szanuję. I rozumiem.*

*R.E.M.*

—

\*) M. Oramus, Bogowie Lema, wyd. Kurpisz, 2007 [urywek]

**R.E.M.**

## **Nieznane opowieści pilota Pirxa**

### **Zagadka**

To ile mamy jeszcze czasu? Prawie godzinę?! Dobrze. A na czym skończyłem? Aha. Właśnie. Więc, jak powiedziałem, kiedy tamto się stało, byłem jeszcze pilotem w Patrolach. Wiecie, jak to jest. Na służbie człowiek cały czas wyślipia oczy. Od ekranów to tak pieką, że zwariować można. Każdy marzy, byle kapkę się zdrzemnąć, albo choć zamknąć te oczy na pół godziny. Ale przyrzędy nie pozwolą ci, ani zasnąć, ani drzemać, choćbyś chciał. Obiecujesz sobie, że jak wrócisz do Bazy, to pierwsze, co zrobisz – zlegniesz. I że wyśpisz się wreszcie za wszystkie czasy. Ale jak potem lądujesz, to od razu starasz się nadrobić te i n n e zaległości. Najpierw palisz. Potem jesz, jakbyś nie miał dożyć jutra – wszystko, czego tam nie było ci wolno. Słucham? A tak! No, nie ma co się śmiać – setka albo piwo? musowo! Bo wiadomo, że choćby świat się walił – i tak nie wsadzą cię do rakiety przed upływem 36 godzin (regulamin). Ale kiedy mógłbyś na koniec z pełnym żołądkiem walnąć się do wyra, to oczywiście szkoda ci każdej minuty. Czytasz książki, wypożyczasz projektor i oglądasz filmy, a najpewniej jedno i drugie naraz. A do tego obowiązkowo prasówka za ostatni tydzień. Pewnie, że po łebkach! Bo niby jak inaczej?

Więc oczywiście, że od razu zauważyłem tamte tytuły. Toż nawet poważne dzienniki wzmiankowały sprawę na pierwszych kolumnach. Cała prasa miała zresztą używanie i to przez dobre parę miesięcy. No, pomyślcie sami: wsiada sześciu ludzi. Raketę zamykają hermetycznie, że bakterii nie zgubi. Start. Lądowanie. Otwierają. I co? Wysiada pięciu. Jakby nigdy nic! Żeby to chociaż gdzieś na Jowiszu, czy Saturnie. Zawsze to łatwiej uwierzyć w każdą bzdurę, byle daleko. Że niby i tak nieprawda. Ale gdzie tam! To tu było – na naszej poczciwej Ziemi. I jeszcze na dodatek taki krótki fracht! Lunaterra!

Raketę to chyba rozebrali potem do śrubki! No i tylko te śrubki znaleźli. Normalnie – kamień w wodę! Gdyby nie regularne śledztwo prokuratorskie i wzmianka o jego umorzeniu wraz z orzeczeniem Trybunału Kosmicznego, uwalniającym „pierwszego” od odpowiedzialności za zaginięcie członka załogi w czasie rejsu, to bym powiedział, że jeszcze jedna kaczką dziennikarską roku spokojnego Słońca.

No, ale że coś było na rzeczy, to nie ulegało wątpliwości. Ludzie raczej nie wyparowują ot tak. I to gdzie? W ograniczonej przestrzeni 19-tysięcznika? A komisja śledcza stwierdziła ponad wszelką wątpliwość, że rakiety n i e rozhermetyzowano w przestrzeni nawet na sekundę. I że śluz zewnętrznych to nie używano w ogóle. I bądź tu teraz mądry? Zeżarli tamtego, czy jak? No, bo przecież nie przerobili na neutrony w stosie atomowym! Jakby to jeszcze był któryś z podejrzanych amatorów, czy przedsiębiorców w rodzaju Le Mansa to może uwierzyłbym i w morderstwo. Ale gdzie tam! „Pierwszym” był doświadczony nawigator. Autorytet normalnie. A załoga? Solidna. Pewnie, że nie jakieś sławy, ale nie było się do czego przyczepić. To możecie sobie wyobrazić, co się zaczęło wyprawiać w brukowcach. Jakich tam brukowcach! Od razu po-

jawiło się nie wiadomo skąd z tuzin cudaków – jakichś naukowców wyrzuconych z instytutów (a może tam jeszcze nieprzyjętych?). Ci w każdym razie przedstawili z miejsca te swoje teorie o pętłach czasowych zwrotnych, odwrotnych, o jakichś podróżach w czasie, światach równoległych, teleportacjach i bóg wie, czym tam jeszcze... Kosmitów do tego nawet wplątali. Potem ktoś kryminał napisał. Czy może horror? Bo dajże i film nakręcili.

Po jakimś czasie sprawa naturalnie ucichła. A może po prostu przyćmiła ją jakaś inna sensacja z gatunku odnalezienia wraku Koriolana, czy bankructwa Kompanii Północnej. I pewnie cała historia pozostałaby jedną z tych dziwnych, nierozwiązanych małych zagadek, co to po latach urastają do legend. I po stuleciach – jak każda legenda – przemieniłaby się na koniec w opowiadaną z przymrużeniem oka baśń o początkach astronautyki. Pozostałaby, przemieniłaby się... gdyby nie przypadek. No i oczywiście – jak zwykle – ja w tym wszystkim.

A stało się to ni mniej ni więcej, tylko tak. Kilka lat po tamtym, kiedy miałem już wylatane godziny – z pełnymi uprawnieniami – no to, rozumie się, jak każdy, miałem się najczęściej nawigacji frachtowej. Czasem jako „pierwszy”, a czasami to i jako ten „drugi”. I zwykle raczej na dłuższych trasach.

Właśnie wtedy zaciągnąłem się, tzn. podpisałem kontrakt, na drugiego nawigatora, żeby lecieć stutysięcznikiem z Indii na Księżyc, a stamtąd – już jako „pierwszy” – zrobić na Czarnym Magnecie (24 tysiące ton masy spoczynkowej) kółko marsjańskie z zaopatrzeniem dla Wielkiej Syrty. Ot, taka rutynowa przejażdżka. Tyle, że Mars – jak to wtedy mówiliśmy – jeszcze szedł zza Słońca i mieliśmy siadać na nim daleko przed kwadrą. Przy takiej odległości nie dziwne, że załogę rekrutowano raczej z tych gorszych, bo diety praktycznie żadne, więc

na opłacalnniejsze krótsze rejsy zawsze była duża konkurencja, a na dłuższe to już się brało kto tam wchodził w ręce, byle w oczy nie raził. Tylko że na przykład o żadnym lekarzu na pokładzie za takie pieniądze to już nie mogło być mowy. Było dobrze, jak się felczer trafił, ale i to nie zawsze. Że niezgodne z przepisami? No, niezgodne. Ale latać trzeba było, bo Mars pił wodę jak smok. Nikt jeszcze wtedy nie myślał o wprowadzeniu na Aresterrę stutysięczników, to wozilo się tę wodę z drobnicą prawie okrągły rok, bo kto by tam czekał na opozycję planet.

No więc miałem ruszyć z tych Indii. Jakoś się tam jednak tak porobiło (strajki chyba?), że zapowiedzieli nam opóźnienie 48 godzin i zdaje się miało to jeszcze się nieźle przeciągnąć. A znowu na Księżycu już grzał stos Czarny Magnet. Armatorzy rwali sobie włosy sumując postojowe, ja depeszowałem im coraz większe poprawki kursowe, jakie trzeba będzie wyrobić za każdą dobę opóźnienia, tak, że w końcu w ostatniej chwili znaleźli za mnie jakieś zastępstwo na tego hindusa i wsadzili w pasażerskiego „Transgalaktika”. Tak znalazłem się na Księżycu. Wszystko z nożem na gardle. Odprawa w kapitanacie na słowo honoru. Wszyscy moi ludzie już siedzieli w rakiecie. Nawet nie miałem czasu dobrze z nimi zagadać, co i jak, a tu komenda: do startu! i... już nas tam nie było.

Na dobrą sprawę zacząłem poznawać ich w drodze. Pierwszym oficerem i pilotem był Kellog, nazwiska drugiego teraz sobie nie przypominę. Nasz inżynier-nukleonik nazywał się chyba Wilkins, a może Wilkinson, a mechanikiem pokładowym był taki mały Lee. Najwięcej kłopotu miałem z inżynierem-elektrykiem Martensem. Jasne, że nie spodziewałem się cudów. Jak już wam mówiłem, kto miał trochę oleju w głowie i więcej wylatanych milionów, to zaklepał sobie miejsca na

okres zbliżającej się opozycji planetarnej. Przy dobrych układach można było obrócić w te i we w te dwa, może nawet i trzy razy, zarabiając za każdym razem tyle, co my z tym jednym frachtem. A kto się nie miał czym wykazać, to brał podlegszą pracę. I z takich ludzi ogólnie przyszykowano mi zespół. Ale i na ich tle z tym Martensem to już były szczyty. Jak kiedyś zajrzałem do niego do kabiny, to tam niby prawdziwa biblioteka elektromagnetyki. Inna rzecz, że prawie same encyklopedie, leksykony i podręczniki, słowem podstawy. I co z tego? Nic. O co się go nie zapytało to, odpowiadał jak sybilla jakaś. Zawsze mu na dwoje babka wróżyła. Jak trzeba było coś konkretnego podać, coś policzyć na przykład, czy odczytać pomiar, zawsze go coś innego zajmowało. Pilniejszego albo nagłego. A potem oczywiście tamta pierwsza sprawa była nieaktualna, bo były już nowe problemy i zjawiska, i trzeba było nowych wyników – to on znowu wykręcał się sianem. Na początku głupio mi było tak przy nim pokazywać, co sędzę o jego wiedzy, bo to – bądź co bądź inżynier – ale w końcu przestałem się krępować i nawet w jego obecności zlecałem, co tylko mogłem, temu drugiemu, tzn. Wilkinsowi, czy jak mu tam było. Najpierw to robiłem nieśmiało, że niby z pogranicza dziedzin, że fizyka, że matematyka i w ten deseń. A potem to już na całego. Tamtemu nieudacznikowi dałem tylko wachty i jeszcze dyżury w kuchni, żeby mu się nie nudziło. Kiedyś, jak ten nukleonik spał, a trzeba było ustalić i usunąć przyczynę zwarć, to nawet mi się nie chciało gadać z Martensem, tylko od razu poszedłem do naszego mechanika. On był z pochodzenia Chińczykiem. Tzn. urodził się w Ameryce, pewnie tak samo jak jego ojciec i dziadek, ale oni tam chyba w domu to po chińsku tylko, bo gadał mało i prosto. No to właśnie tamtej nocy poszedłem do niego. Nie spał. Akurat układał sobie jakieś pasjanse, czy

zadania z tych swoich klocków, to aż mi się głupio zrobiło, że tam przyszedłem do niego z problemem. Bo to i nie był jego dyżur, a i sprawa w ogóle nie należała do jego obowiązków. Żeby jakoś go udobruchać i wprowadzić w temat, a nie zaczynać tak od razu z ni to rozkazem, ni prośbą dowódcy, to zacząłem z głupia frant, jak się miewa, czy coś takiego. Ja tam nigdy nie sadyłem się na bóg wie kogo. Umiałem rozmawiać z mechanikami. A wiecie, że różnie to bywa. Zwłaszcza na takich liniowcach to już w ogóle kastowość. No więc tak go zacząłem tykać od strony dotychczasowych doświadczeń i rozeznania w elektryce. Czyli takie zwykłe przygotowanie rozmową do podania mimochodem problemu tego nieszczęsnego zwarcia. A on odpowiadał tylko po swojemu: tak, nie, dobrze, dziękuję i cały czas się uśmiechał. No to mówię mu wreszcie, co i jak – tylko mi przez gardło nie przeszło, co myślę o Martensie i zęłałem, że niby śpi. A ten mały Lee spojrział na mnie tak chytrze jakoś i wprost mi mówi:

- Martens do niczego. Źle z nim. On biedny. Przez brata.

Nie wiedziałem o jakiego brata chodzi, ale się domyśliłem jakiejś tragedii rodzinnej czy czegoś podobnego. To nawet nie ciągnąłem Chińczyka za język, bo co mnie w końcu – tak myślałem – mogło tamto obchodzić. Pokiwałem tylko głową niby dla zrozumienia, a potem uczciwie przyznałem, że no właśnie, że ta awaria, że sam nie dam rady itd. Ten mechanik to był nawet uczciwy facet i oczywiście jak trzeba, to trzeba – bez dalszych pytań i narzekania wziął się do roboty. Czy usunął awarię? To inna sprawa. Dość, że wtedy zapadł mi w pamięć ten wspomniany brat, tylko nie bardzo wiedziałem, co z tym czynić. Oczywiście, jako dowódca, mogłem wezwać Martensa do raportu, wyłożyć karty na stół i niech się tłumaczy z głupoty, a niechby i zasłania bratem – nie jestem w końcu po-

tworem. Tylko że czułem jakby mechanik wciągnął mnie w jakiś spisek tym jego niby litowaniem się, a jednocześnie do-  
nosem, że nie wiedziałem, czy wypada mi czynić z tego jakikolwiek użytek.

Potem kłopoty osobiste Martensa przestały mnie zajmować, bo dość miałem własnych. Została nam dobra połowa drogi do orbity Marsa, jak drugi pilot dostał ataku ślepej kiszki. Leżał, jęczał i zgrzytał zębami, że aż echem niosło po pokładach, a strach było dać środki przeciwbólowe, bo by już w ogóle nie było wiadomo, co tam się z nim dzieje. Siedział przy nim cały czas Martens i nawet zdaje się nieźle doglądał biedaka, zresztą i tak nie miał nic pożyteczniejszego do roboty. Szczęściem niedługo potem mijał nas mały wycieczkowiec z trasy Aresterra. Mieli sprzęt i lekarza. Zastopowaliśmy. Oddaliśmy pilota i mieliśmy wreszcie spokój. Tylko wachty się wydłużyły i oczywiście poprawki kursowe przy sterach robiłem od tej pory na zmianę z Kellogiem. Jakoś nam poszło już do samego Marsa i tam też obyło się bez niespodzianek rejsowych, jeśli nie liczyć awantury w samej bazie o miejsca noclegowe (ktoś tam opóźniał się z załadunkiem swojej rakiety, inny przełożył start swojej, bo czekał na tę magiczną opozycję, żeby oszczędzić paliwa). W końcu poupychali nas po dwóch do jakichś numerów. Tylko ten Martens wolał zostać w rakiecie. Jego sprawa. Mnie ułożyli z pierwszym pilotem. Siłą rzeczy w końcu zgadaliśmy się o naszym nieudanym inżynierze. Jak ja tylko zacząłem o nim, Kellog machnął ręką.

- Od tamtej sprawy z bratem to już nie ten człowiek.

Było już dosyć późno i właściwie to kładliśmy się do łóżek, ale aż mnie wyprostowało. Znowu ten brat?! O co chodzi. Tak też w końcu zapytałem. Kellog spojrzał na mnie szczerze zdziwiony.



- To pan nawigator nie wie? To była taka głośna sprawa. Jego brat był lekarzem. Najpierw pracował w klinice. Potem przeniósł się na Księżyc. Coś tam się wydarzyło i miał wracać na Ziemię. Zabrał się frachtowcem. Wszedł na pokład razem z innymi pięcioma. Tamci wyszli. A on nie. Ciała nie znaleziono. Co się stało? Zagadka.

Już rozumiecie? Tak, tak! Normalnie opowiedział mi tamtą historię. Zdaje się, że podał mi już wtedy nawet więcej szczegółów. Zatkąło mnie. Okazało się, że sprawa brata naszego Martensa, czy może raczej jego związek z tamtą tragiczną historią był na pokładzie mojego statku tajemnicą poliszynela. Dlatego mój brak stanowczych reakcji na niekompetencję tamtego odbierano ni mniej ni więcej, jako wyraz współczucia. Był tam zresztą w bazie Wielkiej Syrty lekarz, który poznał nieszczęsnego brata Martensa już na Księżycu. Jako, że zaintrygowała mnie ta sprawa, a mieliśmy sporo godzin do odlotu odnalazłem tego lekarza. Był to grzeczny starszy, jak wtedy oceniałem, pan, ale oczywiście ciągle nie mógł mieć jeszcze pięćdziesiątki, skoro pracował tam jako dyżurny. Gdy dowiedział się, kto jest u mnie inżynierem-elektrykiem, od razu zaprosił mnie na obiad. Od niego dowiedziałem się, że brat Martensa, czyli lekarz, swego czasu radził sobie całkiem dobrze na Ziemi i miał świetnie prosperującą prywatną praktykę. Był nawet współnikiem i współpracownikiem jakiejś dużej kliniki. Stosował nowe metody leczenia i eksperymentował z farmaceutyką. Tyle, że coś tam się nie udało i wpadł w procesy sądowe. Wykosztował się na adwokatów. Musiał sprzedać udział w klinice, był strasznie zadłużony, chociaż postępowanie dyscyplinarne ciągnęło się i ciągnęło, i w końcu jako lekarz nie został nawet zawieszony. Sprawę karną też umorzono. Ale praktycznie był skompromitowany. Nikt w środowisku nie

chciał go zatrudnić. O prywatnej praktyce mowy być nie mogło. Toteż nie dziwne, że kiedy akurat rozbudowywano Lunę Główną, a ciągle brakowało specjalistów, nie robiono mu wstrętów z przeniesieniem na Księżyc. Nie zagroził tam zresztą długo miejsca. Mój rozmówca twierdził, że brat Martensa z dnia na dzień zażądał urlopu, wręcz grożąc porzuceniem pracy bez zachowania wypowiedzenia. Był, bądź co bądź, fachowcem, którego nie przepłacano, więc Baza zgodziła się dla świętego spokoju i dała mu nawet zabrać się frachtowcem. Zapytałem kulturalnego lekarza, kiedy ostatni raz widział tamtego Martensa. Jak to?! Zdziwił się. Toż przecież – rozumiecie – on go wtedy tam, do tej właśnie rakiety odprowadził. Czy zauważył coś szczególnego? Ach. Wszyscy tylko o tym... Staruszek już tyle razy powtarzał: tak zauważył; że tamten był zdenerwowany; tak jakby... przeczuwał?! No, oczywiście, dyżurny bazy marsjańskiej musi być racjonalistą, ale – i tu dał mi wykład psychologii, podświadomości i jakichś związków wzajemnych, przeczuć, z tych, co to są na niebie i ziemi sprawy, o jakich się filozofom itd. Wysłuchałem cierpliwie i na koniec zapytałem o tego mojego Martensa, czyli inżyniera. Staruszek nie wiedział więcej niż ja. Nawet nie widział tamtego na oczy. Słyszał tylko, że brat był dwa lata starszy. Podobno, po zaginięciu brata załamał się. Praktycznie przestał pojawiać się na Ziemi. Majątek sprzedał. Stał się odludkiem i zaciągał się na najdłuższe trasy. Nawet, gdy brata uznano w końcu sądownie za zaginionego ze skutkiem prawnym zgonu i urządzono symboliczny pochówek, mój inżynier w ogóle nie pojawił się na pogrzebie.

Podziękowałem lekarzowi za rozmowę. Oczywiście, że pamiętałem ogólnie tamtą historię z prasy, ale – chyba tak naprawdę – to nie traktowałem jej dotąd zbyt poważnie. Ot, za-

gadka. Nie rozwiązano? – ha, trudno. Jednak inaczej, gdy samemu się dotknie sprawy (czyli: tu mamy naocznego świadka nieszczęsnego rejsu i kolegę zaginionego w jednej osobie, tam – brata zaginionego, który pewnie też nie ma pojęcia co się stało, ale zawsze to brat). I taka jakaś żyłka zapaliła się we mnie. Sprawdziłem jeszcze, jak idzie załadunek minerałów; okazało się, że mamy dobre trzy godziny do rozpoczęcia procedur odlotu. Pobiegłem do czytelnicy. Byłem przekonany, że mają stare gazety. Chciałem spojrzeć jeszcze raz na to wszystko, mając już namacalny kontekst. Bibliotekarz był bardzo usłużny i poświęcił mi sporo uwagi, chociaż miał tam niezły ruch. Ostatecznie przeważało moje oświadczenie, że „za chwilę” startuję. Bo też, faktycznie, pozostali czytelnicy sprawiali wrażenie znudzonych i takich, którym się nie śpieszy donikąd. Pewnie go zdziwiło – po co mi tak nagle stara prasa, skoro i tak wracam na Ziemię? Ale zrobił, o co prosiłem. Dostałem w końcu spory plik. Do przejrzenia na miejscu, rzecz jasna. Od razu na pierwszej kolumnie brukowca rzuciło mi się w oczy zdjęcie m o j e g o inżyniera. Tylko ogolonego i z krótszymi włosami. Ciekawe – pomyślałem. Może dowiem się wreszcie czegoś i o moim załogancie. Ja tam czytam i – oczom nie wierzę! Najpierw myślałem, że pomyłka w podpisie pod zdjęciem. Ale w kolejnej gazecie to samo. W następnej? Znowu! Wszędzie piszą, że to ten z a g i n i o n y lekarz. Ale podobieństwo! Bracia. No – dwie krople wody! Przerzucałem artykuły, jednak o tym moim inżynierze niczego nie dowiedziałem się. Przy okazji okazało się, że na całej aferze wypłynęły różne sezonowe gwiazdy. Pacjenci zaginionego, wypowiadający się o nim raczej niepochlebnie. Wychowawca z sierocińca, który pamiętał obu braci jako dzieci. Technik z zespołu inżynieryjnego, który przeszukiwał statek na Ziemi i odgrażał się, że napisze o

tym wspomnienia – jakiś detektyw stylizujący się na nowego Sherlocka Holmesa i licho wie, kto jeszcze.

Dobre i to pomyślałem. Spory materiał analityczny. Tylko co w tym wszystkim ma wartość poznawczą i kto tu odsieje ziarno od plew. Zastanawiała mnie sprawa, którą prasa raczej pominęła milczeniem, tzn. postawa brata. No dobrze, rozumowałem, załamał się. I tyle? A poszukiwania chociaż podjął? Może jakieś śledztwo na własną rękę. Jakiś apel do prasy. No, nie wiem. Cokolwiek. A tu nic. Brat po prostu nie chce mieć z tym nic wspólnego.

Współczucie - współczuciem, pomyślałem, ale warto chyba otwarcie porozmawiać z tym człowiekiem.

Kiedy wystartowaliśmy, odczekałem trochę – dla przyzwoitości, ale byłem już jak na szpilkach. Wreszcie wezwałem go do kabiny, nie uprzedzając, rzecz jasna, o co chodzi. A wtedy ciach – bez ogródek powiedziałem mu, że interesuje mnie sprawa jego brata. Skrzywił się.

- Że też i panu się chce jeszcze, po tylu latach – i sam więcej z siebie nie dodał. A potem już tylko odpowiadał na konkretne pytania, ale też niechętnie. Straciłem pomysł i ochotę na przesłuchanie, że w końcu po złości wypaliłem, że z niego taki inżynier, jak ze mnie... Źle to zniósł. Nawet nie tyle poczuł się urażony ile zmieszał się. Mało tego, że się zmieszał, jakoś tak spojrzął na mnie wilkiem i podejrzliwie.

- Czy coś jeszcze? – syknął do mnie. Właściwie to już niczego nie chciałem od niego. Dałem mu znak, że jest wolny. Normalnie, byłoby mi głupio, że tak się grzebię w cudzych emocjach, ale zdenerwował mnie tym ostentacyjnym niezainteresowaniem sprawą zaginionego brata, tym boczeniem się, podejrzliwością i syczeniem bardziej niż tą swoją nieudolno-

ścią, więc dość niedelikatnie postanowiłem mu dokuczyć na koniec. To już miało być złośliwe:

- I oczywiście nie zostawił pan sobie nawet zdjęcia brata... - tak mu nagadałem. A ten? Mówię wam. Jakby diabła we mnie zobaczył. Przeraził się. Nawet nie próbował ukryć strachu. Wszedł, właściwie wypadł bez słowa.

Wszystko to było jakieś obłądne. Czułem, że w tych zdjęciach i tej identyczności pies pogrzebany. Ale o co chodzi? No, dobrze, przemknęło mi nawet, że ten mój inżynier i lekarz to jedna osoba. Ale skąd się wziął tu żywy. Przecież świadkowie widzieli jak wsiadał do rakiety. A inni, że z niej nie wysiadł, ani w niej nie został. Poza tym, jeżeli ten mój inżynier jest lekarzem, to gdzie się podział tamten prawdziwy inżynier? Powiedzmy, że się jakoś zamienili przed tamtym fatalnym rejssem i do rakiety wsiadł inżynier... Albo że to w ogóle zawsze była jedna osoba. To co – do licha – się z nią stało? Że jak inżynier i lekarz jednocześnie, to po prostu zniknął i wszystko jasne? Bez sensu.

Ale już mi ta sprawa nie dawała spokoju. Jeszcze tej samej nocy poszedłem do sejfu, gdzie były zapieczętowane dokumenty całej załogi. Jak wicie, dowody tożsamości, paszporty i inne osobiste licencje są bagażem prywatnym każdego z członków załogi. Można je odpieczętować bez ich zgody tylko w wyjątkowych sytuacjach i w zasadzie pod warunkiem braku sprzeciwu pierwszego oficera.

Postanowiłem zagrać vabanque i trochę naruszyć procedur. Wezwałem Martensa i Kelloga, ale tylko ich. Im oświadczyłem, że powziąłem wątpliwości co do kwalifikacji niektórych członków załogi. I że zamierzam przeprowadzić w tej sprawie dochodzenie na pokładzie, bo sprawa dotyczy bezpieczeństwa żeglugi. Że w ramach tych czynności zamierzam od-

pieczętować koperty, a dokumenty osobiste uznać za dowody w sprawie. I wtedy pytam Martensa, czy okaże swoje papiery dobrowolnie. A mówię to takim tonem, jakbym z góry wiedział, co tam znajdzie, choć zielonego pojęcia nie miałem.

Martens zagryzł wargi. Pokiwał głową. Nawet uśmiechnął się krzywo. Coś jakby chciał mi dać do zrozumienia – „no, dobra stary, wygralesz”. I mówi mi, że się zgadza. Otwieramy jego kopertę. A tam wszystkie dokumenty w porządku. Zdjęcia, imiona, nazwisko... Nic podejrzanego. Tylko jedna rzecz. Wszystkie wystawione po tamtym fatalnym rejsie brata. Udałem, że nic mnie nie zaskoczyło, a minę miałem w stylu – „no, teraz wszystko jasne!”, choć dalej czułem w głowie pustkę, a właściwie bigos.

Żeby zyskać na czasie i sprowokować Martensa, podałem dokumenty Kellogowi, a inżyniera zapytałem surowo:

- Chce pan nam t e r a z coś powiedzieć?

A ten – słowo daję! jak w kryminale jakimś! – od razu wypalił, że nic nie powie bez obecności adwokata.

No i masz babo placek! Grubsza afera, myślę, choć wciąż tylko ten cały Martens wiedział o co chodzi.

- Wszystko jasne – odparłem. A po prawdzie, to jasne było tylko tyle, że tamten już nic nie powie.

I na tym właściwie skończyłem to dziwaczne dochodzenie pokładowe. Kellogowi przykazałem, żeby – dla dobra sprawy – zachował w tajemnicy przebieg czynności, w których tak bezowocnie, w gruncie rzeczy, uczestniczył.

Unikaliśmy się z Martensem prawie do końca rejsu. Nawet nie udawał, że zamierza wykonywać swoje obowiązki, a ja już niczego mu nie miałem do zakomunikowania ani polecenia.

Męczyła mnie zagadka, która wydawała się nierozwiązywalna. Pewnie już wcześniej podejrzewaliście, że mój Martens był lekarzem, a nie jego bratem inżynierem, za którego się podawał, ale poza tym n i c nie trzymało się kupy. Jak on to zrobił, że wszyscy myślą, że wsiadł do rakiety? Mniejsza zresztą, kto wsiadł. Ale g d z i e się podział? Houdini jakiś, czy co?

Bodaj dzień przed lądowaniem Martens jednak przyszedł do mnie. I tak, jak stał, bez wstępu, zapytał:

- Co pan zamierza z tym zrobić?

Albo to ja wiedziałem? No, ale skoro wcześniej zagrałem blefem, to już brnąłem dalej i tak mu mówię:

- To co ja zamierzam, to nie ma większego znaczenia. Pan wie, że sprawa mnie przerasta. Myślę, że wiele zależy od pana samego – tak mu dokładnie powiedziałem i nawet mi wyszło szczerze, bo właściwie to mówiłem szczerą prawdę, tylko że on ją interpretował po swojemu.

- To wszystko nie jest takie proste, panie nawigatorze – (Ba! pomyślałem – komu on to mówi!) A ten ciągnął kręcąc głową dodał – Wiem, co pan myśli, ale ja naprawdę nikogo nie skrzywdziłem. Nie miałem właściwie wyjścia. Ja zresztą wcale nie zamierzałem tak w nieskończoność. Myślałem, że jak sprawa przycichnie... Wierzy mi pan?

Nie odpowiedziałem, bo co miałem odpowiedzieć.

W końcu ten wziął się w garść i odparł z gorzkim uśmiechem:

- Dobrze to wykombinowałem, ale i tak już dłużej nie mogłem wytrzymać. A teraz... Może to i lepiej...

I tyle. Wyszedł.

Po zakończeniu rejsu w sprawozdaniu dla armatora wystawiłem mu fatalną opinię. Praktycznie dyskredytującą. Nie

tylko co do fachowości, ale i predyspozycji do załogowej służby kosmicznej. O związku z głośnym wypadkiem zaginięcia jego brata oraz o moich podejrzeniach stąd wynikłych nie napisałem w raporcie słowa. Nie zgłosił zastrzeżeń do tamtej opinii. Inna rzecz, że podobno w ogóle nie chciał się nawet z nią zapoznać.

Mnie natomiast sprawa nadal nie dawała spokoju. Na Ziemi prawie od razu poszedłem do archiwum Trybunału Kosmicznego. Studiowałem protokoły starych zeznań, wyniki przeszukań i oględzin tamtej rakiety. Znowu wróciłem do wertowania dawnej prasy. Najważniejsze okazały się jednak materiały policyjne. Szczęśliwie uchowały się w nich taśmy magnetyczne z zapisem obrazu lądowania. Nagrywa się to (i w ogóle wszystko, co się dzieje na płycie lądowiska) rutynowo, na wypadek katastrofy czy drobniejszej awarii, żeby potem analizować zapisy. Jak nic się nie dzieje, to po jakimś czasie filmy idą na przemiał. W tym wypadku obraz końcówki feralnego rejsu zabezpieczyła u siebie policja i stamtąd taśmy trafiły przed Trybunał. Zdaniem śledczych nic ciekawego nie znaleziono. I nic dziwnego. Obejrzałem fragment, w którym podejrzewano klucza rozwiązania zagadki, choć nim nie był. Widziałem tyle razy, że mogę zamknąć oczy i odtworzyć prawie każdy szczegół. Najpierw mamy normalne lądowanie. Potem podstawienie drabiny z pomostem. Wychodzi dowódca, pierwszy oficer, drugi itd. W końcu jest i piąty członek załogi. Każdy robi swoje, tzn. opuszcza się po drabinie, czeka na płycie na pozostałych. Podjeżdża samochód. Wsiadają. Ale auto nie odjeżdża. Już zauważyli brak lekarza. Dowódca wraca do rakiety. Przez długi czas nic się nie dzieje. Potem zamieszanie. Podjeżdżają inne samochody. Biegną ludzie. Z rakiety wycho-



dzi tylko dowódca. Znow tylko on opuszcza się po drabinie. Jakies dyskusje na płycie. W koncu dowódca i ktoś z obsługi lotniska podnoszą się na drabinie. Razem zamykają drzwi od zewnątrz i wracają na płytę. Wreszcie astronauta odjeżdżają. A raketę otaczają kordonem. Przyjeżdża ekipa policyjna na sygnale. Śledczy i ich technicy wchodzą na pokład. I na tym właściwie zawsze kończyło się zainteresowanie zapisem filmowym przez policję i Trybunał. Z akt postępowania wynikało, że od tej chwili skupiano się na przesłuchaniach świadków-policjantów i biegłych-techników. Na analizie pomiarów i innych drobiazgach.

Ale ja oglądałem film d a l e j . Co tam było? Po jakimś czasie policjanci wyszli, a przyjechała ekipa badawcza, sześciu specjalistów w maskach, kitlach, jakichś okularach; ciągną jakieś sprzęty, jakieś aparaty rentgenowskie, jakieś czujniki promieni cieplnych i takie tam różne. Pracują wiele godzin, po jakimś czasie wychodzą p o j e d y n c z o lub d w ó j k a m i , na obiad, czy odprawę i mijają kordon ochrony. L i c z ę specjalistów – jeden, drugi itd. wreszcie szósty i... s i ó d m y !

Tak właśnie on to zrobił. N a s z lekarz i późniejszy n i - b y -inżynier w jednej osobie. Gdzie się schował? Nie wiem. Ale na 19-tysięczniku to nie problem. Jako lekarz znał procedury. Wiedział, że w razie wypadku, np. śmierci na pokładzie, jako pierwsza przybywa policja. Skupia się na zabezpieczeniu śladów, ale przecież policjanci nie będą łazili po przewodach wentylacyjnych, czy grzebali po schowkach wind towarowych, już choćby dlatego, że nie wiedzą, gdzie one się znajdują (jeśli w ogóle wiedzą, że jest coś takiego). Obfotografują, opieczetują, zaprotokołują. Dalszą dłubaninę zostawią specjalistom. Martens na pewno założył, że w końcu ich sprowadzą. Musiał zauważyć, że w nagłych wypadkach ściąga się w pośpiechu

biegłych różnych dziedzin. Takich ludzi, jacy są akurat pod ręką, często nie znających się wcześniej. A nawet gdyby, to i tak łatwo im stracić się nawzajem z oczu w uziemionym frachtowcu. Nie wiem, jak to zrobił, ale wyczekał aż tacy się pojawią, a potem już tylko wystarczyło założyć kitel, maskę i spokojnie wyjść z rakiety, przejść przez kordon, po czym zrzucić przebranie i dosłownie rozpułnąć się. Może gdyby to było na Księżycu, czy Marsie, gdzie ruch jest mniejszy, to nie udałoby mu się. Ludzie tam jakoś łatwiej się rozpoznają, byłoby pewnie trudniej się zgubić w bazie. Ale na Ziemi? Sami rozumiecie.

On zresztą aż do ucieczki z lądowiska, a nawet dłużej, n i c nie ryzykował. Że co? Że przebywał w rakiecie bez zgody dowódcy i kapitanatu po wylądowaniu? Wielkie rzeczy! Poza tym zawsze mógł powiedzieć, że zasnął na statku, że nie słyszał poszukiwań, że obudził się, że wreszcie uciekł w szoku itp.

Oszustwem było dopiero zawłaszczenie tożsamości brata. Bo z dokumentów wynikało, że tamten istniał naprawdę. Przypuszczam jednak, że nie żył już w chwili, gdy n a s z Martens ruszał w tamten legendarny i niby-ostatni swój rejs. Prawdopodobnie dostał wiadomość o śmierci brata jeszcze na Księżycu. Od kogo? Pewnie i tego się już nie dowiemy. Zresztą, jakie to ma znaczenie. W każdym razie podjął widocznie błyskawiczną decyzję. Stąd ten pośpiech i niemal szantaż porzucenia pracy. Nieźle to nawet wszystko zaplanował i wykonał, skoro zdążył przejąć tożsamość brata zanim postronni zorientowali się w śmierci tamtego. A potem, już jako swój własny brat, czyli inżynier, porzucił Ziemię, bo było to środowisko, które mogło go zdemaskować i zaszył się w długich rejsach. W bazach też wolał nie rzucać się ludziom w oczy. Postawa załamania po śmierci brata była wygodną maską – wybaczano mu

niekompetencję, na którą się skazał (bądź co bądź nie zostaje się elektrykiem z dnia na dzień). No i ten majątek rzeczywiście zmarłego brata spieniżył. I pewnie gdzieś ukrył, czekając na lepsze czasy, tak żeby nie zajęli go wierzyciele. Bo – w końcu – po uznaniu siebie samego za zmarłego – musiałyby w imieniu brata-spadkobiercy, czyli pod nową tożsamością, spłacać znowu swoje stare długi.

Pewnie ciekawi was, co było dalej ze zdemaskowanym lekarzem Martensem. Ano, właściwie to już nic. Jeszcze zanim zebrałem i poukładałem sobie wszystkie dowody przeciwko niemu, dowiedziałem się, że zaginał wraz z całym statkiem w drodze na jeden z księżyców Saturna, gdzie chciał podobno podjąć pracę w kopalni – wciąż jako inżynier, rzecz jasna.

Właściwie nie było więc już w czym grzebać. Dla porządku tylko opublikowałem w Zeszytach Trybunału Kosmicznego coś w rodzaju spóźnionej glosy krytycznej do tamtego orzeczenia. W zasadzie podzielałem tam zdanie sędziów o braku winy dowódcy w zaginięciu członka załogi, choć wywiodłem taki wniosek z zupełnie innych przesłanek – a za dowód miałem tamten niedoceniony zapis filmowy.

I to właściwie byłoby wszystko. Zdaje się, że policja dla formalności wszczęła nawet jakieś czynności wyjaśniające, ale oczywiście nikomu już żadnych zarzutów nie postawiono, bo sąd zdążył – po raz drugi de facto – uznać mojego Martensa za zaginionego w przestrzeni kosmicznej około Saturna, choć tym razem już na dobre.

Inna rzecz, że... głowy bym nie dał, czy tamten znowu nie wykręcił im jakiegoś numeru. Houdini jeden...

*R. E. M.*

## **Posłowie**

*Lemie!*

*Różne sposoby przetwarzania tradycyjnych powieści w formy zasadniczo się od nich różniące, choć w tym, co najważniejsze, głęboko spowinowaczone, mogą też być zupełnie inne niż w Doskonałej próżni: – twoim największym wynalazku pisarskim.*

*Już kilkadziesiąt lat temu wymyśliłem plagiat jako odrębny gatunek literacki. Nawet rozmawiałem o tym z Julianem Stryjowskim.*

*Postanowiłem wydawać je w zbiorach tak właśnie zatytułowanych:: Plagiaty.*

*Trzy z nich już wykonałem.*

*Później zaprzestałem, głównie wskutek wątpliwości: czy warto starać się o poprawianie tych, co napisali pierwowzory?*

*Staszku.*

*Otóż dzięki tobie zrozumiałem: przy zmianie koncepcji mógłbym to jeszcze zrealizować.*

*Streszczać lub cytować na tyle, żeby z pierwowzoru uzyskać trochę mięsa. Nawet go miejscami dodawać po swoimu.*

*Robert Stiller*

**R.E.M.**

## Zapomniana podróż Ijona Tichego

### Przedmowa wydawcy

Z chwilą śmierci nestora nauk pozaziemskich prof. Astrala S. Tarantogi, powszechnie znanego jako autora „Kosmozofii”, ja, wcześniej zaufany depozytariusz, a teraz już zapisobierca testamentowy jego wyjątkowych zbiorów, znalazłem między nimi również maszynopisy „Dzienników Gwiazdowych” samego kawalera próżniowego Ijona Tichego. Szczere zaskoczony, odkryłem wśród tych osobny plik niepublikowanych nigdzie relacji podróżniczych. Zbadawszy przedmiot na tyle, ile pozwalały mi inne, mniej ważne, acz lepiej płatne obowiązki, uznałem, że niektóre z owych powieści nie zostały uwzględnione w dotychczasowych wydaniach li tylko z przyczyn leżących po stronie oszczędnych, by nie rzec – chciwych, wydawców. Nastawieni na zysk, skąpili na każdej ryzie, przewidując celnie, acz niemoralnie, że niecierpliwy czytelnik i tak zapłaci wyśrubowaną cenę za kolejny tom, niezależnie od tego, czy ów liczyć będzie stronic 608, czy 640. Tym sposobem, bodaj czy nie wyłącznie ze względów objętościowych, dyskwalifikowali niektóre z wartościowszych opowiadań, a – wzięwszy pod uwagę koszt papieru oszczędzonego na wielomilionowych nakładach – sami zarabiali krocie.

Jako że wraz z przejętymi materiałami spłynęło na mnie, niezasłużenie zresztą, dobrodziejstwo decydowania o wyży-

skaniu majątkowych praw autorskich przynależnych zmarłemu, powziąłem zamiar ukazania szerszemu odbiorcy również i tych, nieznanych dotąd, przygód najślynniejszego z kosmonarzy naszych czasów.

Ze względu na zażyłość, jaka łączyła autora wspomnień z nieodżałowanym profesorem oraz zważywszy ich wzajemne zaufanie, poczyniłem zawczasu wszelkie starania, by ustalić, czy dotychczasowe ukrywanie szeregu podróży nie jest również wynikiem jakich szczególnych życzeń Ijona Tichego albo jego zmarłego powiernika. Nie byłem też pewien, czy sam podróżnik życzyłby sobie obecnie upubliczniać tamte reportaże. Wątpliwości tej natury mogły być uzasadnione nasilającymi się z biegiem lat skłonnościami pilota do zarzucenia jakiejkolwiek wytwórczości i pozostawaniem w odosobnieniu. Zachowania owe w ostatnim czasie posunęły się tak daleko, że w nich – a nie w tak modnej dzisiaj abolicji cyberelektrycznej – wielu współczesnych biografów i komentatorów najnowszych wydań „Wizji lokalnej” oraz „Pokoju na Ziemi” upatruje przyczyny zwolnienia przez autora wszystkich wysłużonych robotów, łącznie z kuchennymi, jak też niezatrudniania nowych.

Dowiedziawszy się tedy, że sam zainteresowany od lat pozostaje w zagłębieniach czarnej dziury, ukrytej chytrze za Panną (łac. Virgo), uczyniłem jedyne, co możliwe w tych warunkach, to jest posłałem mu kurierem pismo o własnych zamiarach, oświadczywszy z ostrożności, że brak odpowiedzi w terminie dwutygodniowym przyjmę za dowód zaufania, równoznaczny z niezgłoszeniem zastrzeżeń co do mej swobody w wyborze. A że istota czarnej dziury objawia się tym, niestety, że nic, łącznie ze światłem, nie jest w stanie jej opuścić, słusznie przewidywałem, że adresat zaniecha wszelkich prób od-

wrotnej korespondencji. Jakoż i żadnych zastrzeżeń tą drogą nie zgłosił.

Uznałem zatem za stosowne, bo nienaruszające ani dobrego smaku, ani poprawności politycznej w stosunkach międzyplanetarnych, pokusić się o wydanie na łamach znanego wenusjańskiego pisma krytycznego „Literatura na Drodze Mlecznej” jednego z tekstów, pod tytułem roboczym „Ijona Tichego podróż na Minimię”. Zdarzenia tam przedstawione nastąpiły – według mych badań porównawczych – z najwyższym prawdopodobieństwem później, niż szeroko znana i komentowana wyprawa na Karelirię (Podróż jedenasta według systematyki prof. Tarantogi), ale przed wyjazdem na Meosferę (Podróż dwudziesta szósta – również według systematyki prof. Tarantogi, aczkolwiek on sam podniósł, tuż przed śmiercią, wcale rozumne argumenty, poddające w wątpliwość autentyczność tamtego ostatniego opowiadania i podejrzewał, że mógł je spisać niejaki Lem, znany XX-wieczny awanturник i szalbierz).

Korzystając z okazji, szczerze chciałbym tu podziękować wszystkim oszczercom (choć na wymienianie ich imion i nazwisk szkoda mi czasu), twierdzącym, jakobym przez odkuznienie dzieł Ijona Tichego pragnął jedynie dorobić do skromnej pensji naukowej, żerując tym sposobem na pamięci sławnego wszechświatowca. Akurat! W rzeczywistości to właśnie owe niegodziwe (a nadto aż liczne pod moim adresem) zarzuty nadały ponowny rozgłos dokonaniom niezrównanego badacza szlaków międzygalaktycznych, który inaczej mógłby pozostać zapomniany przez młodsze pokolenia czytelników. Gdybym zaś sam w istocie gonił za zyskiem, hołdowałbym raczej gustom gawiedzi, żadnej rozrywki prymitywnej. Mógłbym przecież ujawnić nieznanne szczegóły o pracach po-

wszechnie szanowanego pilota, podjętych – prawda, że do-  
rywczo i z konieczności – przy obsłudze Cewkowo-  
Halucynogennych Urządzeń Jądrowych w dzielnicach różo-  
wych halogenów na planecie Jednopłciowców. Nie mniejszą  
sensację wzbudziłoby ukazanie się drukiem wyznań naszego  
bohatera o własnoręcznym wydrążeniu tunelu międzyprze-  
strzennego pod bankiem rezerw galaktycznych w Gwiazdo-  
zbiorze Ósemkowym Wielkiej Niedźwiedzicy Orientu. O tych  
przygodach jednak ani myślę tu wspomnieć choćby jednym  
słowem – mając na uwadze przede wszystkim dobra osobiste  
żyjącego (w co wierzę) autora.

*Prof. niezwykajny doc. zrehab. nauk bez-  
prawnych*

*sędzia w stanie wypoczynku  
niedoszły Kawaler Orderu Cnoty Próż-  
niowej*

*R.E.M.*

(Nagrano na planecie Terra, w początku wieku 10.101 tutej-  
szego sytemu binarnego.)

\*\*\*



## **Ijona Tichego podróż na Minimię**

Właśnie przewracałem skarpetki na obudowie stosu atomowego, bo mi zawilgły w chmurach wodorowych, przez które skracałem drogę na Oriona, gdy do maszynowni wtoczył się pilot automatyczny i brzęknął, że ściga nas Policja Kosmiczna. Nie przeczuwając niczego złego, udałem się do sterowni i wyhamowałem silniki, stwierdziwszy, że istotnie zbliża się statek patrolowy z włączonym kogutkiem. Wykonując zatrzymanie według przepisów o ruchu międzyplanetarnym, kątem oka dostrzegłem, jak automatyczny uśmiechał się krzywo. Miał ten sam wyraz szyderczej stalowości, kiedy kilka godzin wcześniej zdejmowałem z silnika rakiety blokadę prędkościomierza, aby – korzystając jedynie z dobrej widoczności – podgonić marszrutę, opóźnionej przez niedbalstwo Orionidów. (Zacne to plemię i gościnne, ale też z wyjątkowym lekceważeniem odnoszące się do zaleceń Komisji Urzędowej Tras Astralnych Starych co do niezwłocznego zapinania Pasa Oriona po każdym, choćby najłżejszym, jego poluzowaniu. Oczywiście Komisja sobie, a tamci sobie. I tak to przez ich brak staranności, leciałem złym kursem dobre dwa parseki, zanim spostrzegłem omyłkę w nawigacji, orientowanej na rozchwianą konstelację.) Musiałem więc ostro manewrować, a nadto podkręcić dysz, aby nadrobić stracony czas. Liczyłem, prawdę mówiąc, że przekroczenie dozwolonej prędkości o 15 do 20

procent nie będzie w ogóle wychwycone przez tolerancyjne radoradary, nastawione z dużą poprawką na poszukiwania naprawdę groźnych piratów próżniowych.

Widząc jednak ostrzegawcze znaki patrolu gwiazdowego, odłączyłem zasilanie autopilota, któremu pogarda zastygła na kwadratowym obliczu i sam przejąłem stery. Pomyślałem, że swoją drogą dobrze byłoby wysłać to stare autopudło na diagnostykę kliniczną. Może przy okazji technicy usunęliby raz na zawsze ten nieznośny grymas, o którym sam robot bezczelnie twierdził, że obrazuje tylko zwarcia na nieszczelnych przewodach w warunkach zwiększonej wilgotności.

Tymczasem rakieta patrolowa zrównała lot, zaczym kodem Morse'a zażądano ode mnie kolejno dokumentów rejestracyjnych, dziennika pokładowego oraz licencji pilota, które to niezwłocznie podałem przez rękawek, wysunięty w tym celu przez lufcik.

Zaniepokoiłem się dopiero usłyszawszy nakaz natychmiastowego lądowania na najbliższej asteroidzie. Tam przekonałem się, że załogę patrolu stanowiło dwóch grubych jegomościów, którzy – równie grubo – upewnili się co do mej tożsamości, po czym, ani zdążyłem się rozeznać, jak rozłożyli mnie na ostrych skałkach z rozbitym od upadku nosem i ze skrępowanymi rękami.

– Igraliśmy, igraliśmy, no i żeśmy się doigrali – rzekł grubszy z nich. Cokolwiek miało to znaczyć (mogli bowiem równie dobrze swawolić o mojej postawie krawawiająco-leżącej, jak i komentować skutki własnej nadgorliwości), znalazłem się w ich rakiiecie na tzw. dołku, czyli w ciasnym pomieszczeniu na dolnym pokładzie tuż obok silnika, gdzie gorąc i zaduch były doprawdy niemiłosierne.

Służbista postawa funkcjonariuszy Policji Kosmicznej była dla mnie dużym zaskoczeniem, gdyż dotąd nie zdarzyło mi się być zatrzymanym za tak drobne wykroczenia. Zresztą, za poważniejsze otrzymywałem już ledwie pouczenia czy nagany (a i to pod warunkiem, że policjanci mnie nie rozpoznawali, gdyż w przeciwnym razie – jako osoba dość popularna – ustawiałem się raczej do wspólnej fotografii sygnowanej następnie moim autografem).

W niecałą godzinę później wysadzono mnie, nadal w kajdankach, na planecie skolonizowanej jeszcze w ubiegłym wieku przez wyznawców sekty prawniczej, zwanych Durakami lub Durami, a to z rygoryzmu w stosowaniu zasady „dura lex, sed lex”. Planetę Duraków, choć niedużą, umieszczano w almanachach kosmicznych z racji przodowania tak w liczbie wydawanych na niej konstytucji, ustaw, rozporządzeń, zarządzeń (i Bóg jeden wie jakich jeszcze aktów), jako też z racji najwyższych wskaźników osób skazanych za wszelkiego rodzaju występki i przewinienia w przeliczeniu na metr sześcienny zamieszkałego ciała niebieskiego.

Naturalnie, nie znałem przepisów lokalnego ruchu okołoplanetarnego, atoli domyślałem się, że nie stanowią sankcji sprzecznych z przyjętą Konwencją Galaktyczną o Ruchu Podświetlnym, gdzie zakazano kar cielesnych, a wskazano górną granicę grzywny za przekroczenie prędkości. Dlatego nie byłem specjalnie zmartwiony niechybnie czekającą karą, tym bardziej, że w niezbędniku zawsze woziłem gotówkę w znacznej ilości, którą rozsypywałem niekiedy w co biedniejszych przestrzeniach, aby opędzić się od natrętnego żebractwa próżniowego.

Większy mój niepokój budziła nieznana bliżej procedura sądowa. Obawiałem się szczególnie, że jej przewleczenie do-

proceedzi do dalszego opóźnienia w mych planach podróży, na co pozwolić już sobie nie mogłem żadną miarą.

Dlatego, choć wciąż aresztowany, z ulgą przyjąłem odwiedziny znużonego obrońcy, przyznanego mi z urzędu, który pokrótce objaśnił mnie w zawiłościach postępowania przed sądem trzygodzinnym, czyli dyżurującym przez całą – tak właśnie długą – durną dobę. Zapewnił przy tym, że – jeżeli tylko przyznam się do postawionych zarzutów – egzekucja nałożonej kary nastąpi niezwłocznie, po czym nie będę musiał pozostawać na tej planecie ani chwili dłużej.

Co usłyszawszy, z wielką gorliwością podpisałem wszelkie przedłożone pisma i przygotowane przezeń oświadczenia.

I rzeczywiście, po niecałej kolejnej godzinie stanąłem przed durnym sędzią, który – nie zwracając na mnie większej uwagi – pośpiesznie odczytał dość długi dokument. Nie wiem, co bardziej mnie zdumiało: sam wyrok dziesięciu lat marsjańskich pozbawienia wolności (i to z nakazem wzmożonej pracy resocjalizacyjnej!), czy lista przypisanych mi czynów, według której miałem wyłudzić cztery (!) satelity, kłamliwie obiecawszy – tak stało w wyroku – ich wyniesienie na orbitę, a w istocie przywłaszczyszy je przez wywóz w nieznanym kierunku! Jakby tego było mało, zdążyłem rzekomo zaciągnąć przed odlotem pożyczkę na pokaźną sumę od osoby, której – równie oszukańczo – miałem przyrzec małżeństwo, po to tylko by zniknąć wraz z jej niewinnością (i gotowizną, rzecz jasna).

Pouczony o możliwości odwołania, jako też o tym, że muszę je złożyć w ciągu 6 minut i 47 sekund, czyli przed upływem durnej doby od chwili zatrzymania, nagryzmołem pośpiesznie i nerwowo apelację, wskazując, że na planecie Duraków nie byłem nigdy wcześniej, jak i nie mam nic wspólnego

z utratą niewinności jakiejś durnej młodej damy. Na marginesie nadmienię, że właśnie dwa lata marsjańskie temu skradziono mi na Ziemi dokumenty tożsamości i posługiwano się nimi potem w niecznych celach, gdy ja bawiłem incognito na Karelirii, co jest do sprawdzenia w takim to a takim urzędzie.

Sędzia przyjął odwołanie nawet nie rzuciwszy na nie okiem i poinformował mnie, że wyrok, choć nieprawomocny, jest obarczony rygiorem natychmiastowej wykonalności, a to z racji wysokiej szkodliwości społecznej mych czynów i wielkiego stopnia ich uprawdopodobnienia dowodami z durnych dokumentów, a także moim własnym przyznaniem winy.

I tak, ledwie minęła trzygodzinna doba, pobrano ode mnie odciski palców oraz stóp, zawieszono na szyi blaszkę z kolejnym numerem aresztanckim i zesłano do miejsca wykonywania kary, gdzie nie pozostało mi nic innego, jak oczekiwać na wynik postępowania odwoławczego.

Zakładem karnym okazała się nieznana mi pustynna planetka pod nazwą Minimia; tak mała, że można byłoby przeoczyć ją bez trudu nawet na gwiazdnych mapach sztabowych. (Nie muszę chyba dodawać, że z uwagi na rozmiary nie jest w ogóle umieszczana w spisie ciał niebieskich kalendarza kosmonautycznego.) Co zwróciło w pierwszej kolejności moją uwagę na powierzchni maleńkiego globu, to nieprawdopodobna ciasnota. Osadzeni, w warunkach oczywistego przeludnienia, byli puszczeni całkiem samopas, jako że i tak nie mieli dokąd uciec, ani gdzie się ukryć. O rozmiarach tego osobliwego więzienia niech świadczy choćby to, że stojąc na równiku planetki, widać było głowy tych, co siedzieli na każdym z jej biegunów.

Strażnicy zbliżyli się do Minimii śmigłowcem próżniowym, skąd opuścili mnie na powierzchnię po drabinie. Jeden z nich mrugnął wówczas do mnie szelmowsko okiem i szepnął.

– Nie martw się! twoim nowym przyjaciołom ciało ludzkie obrzydło już w jakiegokolwiek postaci. Nie musisz się więc bać ani o płuca, ani o schaby – po czym wybuchnął ordynarnym rechotem.

Wbrew uspokajającym słowom konwojenta (a może właśnie na ich skutek?) ogarnął mnie silny niepokój, by nie rzec: strach. Na wszelki wypadek postanowiłem nie spoufalać się z tubylcami, a w każdym razie mieć siebie i ich na najwyższej baczności.

Wydało się to zrazu łatwe, gdyż nie okazano mi najmniejszego zainteresowania. Przeciwnie – wszyscy ostentacyjnie odwrócili się do mnie bokiem. Byliby zapewne pokazali mi i plecy, gdyby nie to, że najwyraźniej nie chcieli również i do siebie wzajem skłaniać się twarzami, co wymuszało na nich dziwaczne, bo w teorii niewykonalne, boczenie się we wszystkich kierunkach jednocześnie.

Zadowolony, że nikt nie tyka mnie na moim metrze kwadratowym, pozostałem tam nieruchomo i zacząłem rozmyślać nad własnym położeniem. Pomimo dziesięcioletniego wyroku ciężącego już – acz nieprawomocnie – na mej kartotece, uznałem, że właśnie w durnym prawie cała nadzieja, o ile stosować się je będzie nadal z pieczołowitością. Nie wiedziałem tylko ile czasu potrwa sprawdzanie mojego alibi, ani sam tryb rozpoznania apelacji.

Mijały dni, tygodnie i miesiące (oczywiście według miary czasu Minimii, co oznaczało kilkanaście godzin ziemskich), a ja siedziałem na piasku, coraz bardziej poirytowany obecno-

ścią tłumu milczącego, naburmuszonego i boczącego się. Naraz usłyszałem za sobą głos:

– Ty jesteś tu nowy.

Ani pytanie, ani stwierdzenie, ani zagajenie rozmowy. Tylko tyle. Niemniej odwróciłem się z niejaką ulgą. Stał przede mną mały rudawy mężczyzna o niebieskich i fałszywych oczach, źle ukrytych za rogowymi okularami. Uznałem za stosowne odezwać się. Zacząłem więc ostrożnie:

– Istotnie. Jestem tu od niedawna.

Mały okularnik zmrużył oczy. Pogmerał palcami przy czubku nosa i zapytał skrzekliwym głosem:

– Wyrok prawomocny, czy nie?

Domyśliłem się, że interesuje go podstawa prawna mojego tutaj osadzenia, więc szczerze opisałem mu całe zdarzenie, oceniwszy wprzód, że w tych okolicznościach prawda nie może mi nijak zaszkodzić.

– Taaak... – odrzekł i zamyślił się, drapiąc w głowę.

Skorzystałem z okazji i spróbowałem dowiedzieć się czegoś o miejscu i towarzystwie, w jakim miałem spędzić najbliższe tygodnie lub miesiące (a może nawet lata i to niekoniecznie według miejscowej miary czasu).

– Czy oni wszyscy – tu obiegiem oczyma widnokrąg – też odbywają kary?

– Taaak... – znów, jakoś tak nijak, odparł ten rudy.

I zaraz zaskrzeczał sam z siebie, jak gdyby bał się, że zaczęną zadawać pytania tamtym, a nie jemu (choć, po prawdzie, wcale nie miałem takiego zamiaru):

– Od nich niczego się nie dowiesz. Siedzą tu już tak długo, że nikt nawet nie wie ile. Teraz, zresztą, widać, nie osadza się tutaj skazańców. Od dawna. Tylko takich tymczasowych

przywożą. Jak ty. I jak ja. Gdy wyrok się uprawomocni to nas przeniosą.

– Albo zwolnią – wtrąciłem z nadzieją.

– Taaak... – przyznał, choć bez przekonania.

A potem znów dodał:

– Może mi nie wierzysz, że ci tutaj nie będą chcieli z tobą rozmawiać? – i nie czekając na to, co odpowiem, objaśniał dalej – Oni mają wstręt do siebie nawzajem. I do ludzi w ogóle. Naukowo zbadane: wzór na tęsknotę określa, że jest ona uczuciem wprost proporcjonalnym do odległości między osobami. No, że wraz z oddaleniem wzrasta. A nienawiść – odwrotnie. A pomyśl: ci tutaj już bliżej być nie mogą. I to trwa latami. Po takim czasie nikt już nie czuje się zobowiązany względem nikogo, niezależnie od tego, czy i co kto komu kiedyś zawdzięczał. A ile to ma wzajemnych żalów! O! Toż tu chwili nie masz, żeby jeden drugiemu w takim ścisku nie nadepnął na odcisk! A urazów to się już nie zapomina. Nigdy. I to samo w sobie już wystarcza. Więc ci wszyscy, po zakończeniu kary będą na zawsze uleczeni z jakiegokolwiek aktywności społecznej. Oto jest resocjalizacja. „Nulla societas - nullum crimen”, jak mówią na durnych uniwersytetach. Znasz łacinę?

– Na tyle, na ile – odparłem wykrętnie i aby zmienić temat zapytałem, starając się formą własnej wypowiedzi podkreślić brak zgody na zbyt dużą poufałość, szczególnie co do zwracania się „per ty”. Zacząłem tedy sondować rozmówcę, pytając:

– A pan może był, tzn. jest... prawnikiem?

Nie odpowiedział, tylko jakoś tak baczniej przyjrzał mi się, aż zrobiło mi się nieswojo. Udałem, że nie widzę jego badawczego wzroku i pośpiesznie ciągnąłem:



– Pan, jak rozumiem, zna tutejszą praktykę sądową. Zatem, jak pan uważa, ile czasu mogę czekać na rozpoznanie odwołania?

– Tak – stwierdził, nie wiedząc o czym, mój tajemniczy rozmówca, tym razem stanowczo. Po czym nagle zmrużył oczy i pisnął przeraźliwie: – Patrz pan!... – i wskazał palcem za moje plecy. Odwróciłem się gwałtownie starając się nadażyć za jego ruchem, a potem usłyszałem coś jakby uderzenie w głuchy dzwon i... więcej nie pamiętam.

Obudziłem się – trudno mi powiedzieć po jakim czasie – z potwornym bólem głowy. I z guzem wielkości śliwki. Po małym fałszywcu nie było śladu. Zniknął razem z moim ubraniem i blaszką identyfikacyjną. Nie ukradł mi tylko skarpet (których w końcu zapomniałem w ogóle zabrać z rakiety). Chcąc – nie chcąc, wcisnąłem się w jego porzucone ubranie, by nie świecić nagimi pośladkami, choć – musiałem przyznać w duchu rację strażnikowi – nie wzbudziły w otoczeniu nijakiej sensacji. Blaszkę złodzieja odkryłem w kieszeni spodni i wyrzuciłem z obrzydzeniem. Pozostawionych na piasku okularów łobuza również nie tknąłem.

Planetkę więzienną obszedłem później parę razy, przeciskając się przez gęstwinę osadzonych i zaglądając jednocześnie w ich twarze, co nie było łatwe, jeżeli wziąć pod uwagę ogólne rutynowe boczenie się. Żmudne poszukiwania doprowadziły mnie jedynie do stwierdzenia, że w jakiś niepojęty sposób rudzielec wraz z moim ubraniem opuścił Minimię, o ile nie zapadł się pod tutejszą ziemię.

Po jakichś kolejnych kilkunastu godzinach ziemskich nadleciał znany mi śmigłowiec straży więziennej, z którego opuszczono duży pojemnik samobieżny. Wywołało to niejakie ożywienie wśród pozostałych więźniów, którzy zaczęli wy-

grzebywać z piasku nieczystości i wrzucać je do pojemnika, wyjmując przy tym paczki z wodą i żywnością z innej jego części. Udałem się za pojazdem, pomimo roznoszonej przezeń coraz silniej nieprzyjemnej woni, gdyż uznałem, że jest to jedyna możliwość rozmowy ze strażnikami. Choć nie czułem z nimi nijakiej solidarności i brzydziłem się wszelkim donosem, oceniłem, że zachowanie współwięźnia oszusta usprawiedliwia mnie w udzieleniu im wiadomości oraz żądaniu wyjaśnień co do stanu, w jakim znalazłem się; ograbiony nawet z więziennej tożsamości i – najoczywiściej – wbrew durnemu prawu.

Gdy więc zaczęli ściągać pojemnik z powierzchni planety, chwyciłem się jego brzegu i w oparach świeżych produktów przemiany materii zostałem uniesiony do śmigłowca. Potworny smród wykręcał mi nozdrza, a głowa pękała pod guzem, jednakże gniew dodawał mi siły i odwagi. Załoga najpewniej w ogóle nie dopuszczała takiego zachowania ze strony więźnia, gdyż odkryła mą obecność dopiero na znacznej wysokości, gdy już podwieszono pojemnik pod podwoziem i zbierano się do odlotu. Śmigłowiec naraz wyciszył silnik, po czym pilot wychylił się przez okno i burknął:

– Co jest?! Bo zrucę!

Wyjaśniłem tedy pokrótce przyczynę mego wzburzenia.

– Taaaka sprawa... – mruknął i jego głowa znikła w kabynie.

Przez dobrą chwilę wisiąłem tak, omdlały, aż wreszcie z drzwi śmigłowca opuszczono drabinkę, po której natychmiast wspiąłem się do kabiny.

– Pokażcie no się – rozkazał drugi z pilotów, po czym pokijał głową, jak gdyby wszystko było jasne i krzyknął:

– No tak! To przecież was, znaczy się ciebie, to jest ... pana, tu żeśmy wieźli ostatnio. Czyli... tamci zabrali... no... jak raz, nie tego!

– Taaaka sprawa... – dodał po swoim pierwszym.

Zatem znalazłem się wkrótce na pobliskim księżycu, służącym za stróżówkę i magazyn zakładu karnego, ale i wysypisko wszelkich nieczystości. Przez jakiś czas załatwiano jeszcze formalności dotyczące mojej osoby. Sprawdzano odciski kończyn, pytano o imię babki od strony matki, a potem kazano mi podać datę własnego urodzenia na wspak (dla utrudnienia) i takie tam. W końcu sprowadzono nawet (w celu okazania) mojego – pozał się Boże – durnego obrońcę. Od niego dowiedziałem się, w końcu, że apelację rozpoznano niezwłocznie, to jest przed upływem kolejnych trzech tamtejszych dób od wydania wyroku. Moje alibi, rzecz jasna, potwierdzono. Cała rzecz skończyłaby się dla mnie rychlejszym uwolnieniem, gdyby nie przebiegłość obeznanego w prawie współosadzonego, który przywłaszczył moją tożsamość, domniemając mej niewinności, a najwidoczniej nie wierząc we własną. No cóż, wedle jego własnych słów, a i durnych kryteriów, nie był jeszcze zresocjalizowany.

– Życzę panu serdecznie powodzenia – rzekł adwokat na pożegnanie. – Do nas nie ma pan, chyba, no... nie może Pan, po prostu, mieć pretensji nijakich. Jak to mówią: „ignorantia iuris nocet” – zakończył zagadkowo i tyle go widziałem.

Dyrektor więzienia, który był w jednej osobie również kierownikiem śmietnika, zapewnił, że w ciągu kilku dni mój własny autopilot sprowadzi z policyjnego postojowiska zabezpieczoną tam rakietę, w związku z czym będę mógł kontynuować dalszą podróż już bez przeszkód.

- O ile nie naruszyicie prawa! - dodał dobrodusznie, choć nie było to w tych okolicznościach ani miłe, ani śmieszne.

Tymczasem oferował gościnę, oddając do dyspozycji zgromadzone w magazynie więziennym paczki żywnościowe zarekwirowane osadzonemu. Zapewniał, że po krótkim czasie przyzwyczaję się do nieprzyjemnej woni księżycowej, przez co nawet docenię tutaj wieczorne krajobrazy radioaktywne.

Ja jednak, mając już i tak znaczne opóźnienie w stosunku do własnych planów podróży oraz nie mogąc znieść ogólnie nieczystej atmosfery, a także wzdrygając się na myśl o szyderczym obliczu mojego autopilota, wolałem zabrać się statkiem ciężarowym. Taki właśnie zatrzymał się na pobliskim wzgórzu dla opróżnienia swoich przewodów kanalizacyjnych, przepelnionych skutkiem choroby astronautycznej, na jaką cierpiała załoga. Dowiedziawszy się, że następnego dnia mają mijać Oriona ledwie o dwa tuziny jednostek astronomicznych, nie wahałem się ani chwili. Stamtąd spodziewałem się już bez trudu złapać lada jaki kosmostop lub - w najgorszym razie - mieć do przejścia niewiele godzin świetlnych. I tak umożliwiony sobie całkiem wygodne legowisko na poziomie pocztowym, opuściłem Układ Minimii, zasnawszy na przesyłkach poleconych. Na koniec, dzięki uprzejmości astrocyklisty, napotkanego później na kosmostradzie, dotarłem wreszcie do celu, tak, że zdążyłem jeszcze na ostatnią część konferencji, organizowanej przez „Towarzystwo Opieki nad Małymi Planetami”, którego - o ironio - byłem honorowym członkiem. Warto przy tym podkreślić, że zmieniając środki przygodnego transportu, część drogi musiałem jednak pokonać pieszo (wciąż bez skarpet!) pod wyjątkowo uciążliwy wiatr słoneczny. Ledwie uniknąłem wtedy nadciągającej burzy meteorów, a i tak miałem buciki pełne gwiazdowego pyłu. Jeżeli w takich warunkach nie

zawróciłem, to najmniej dlatego, żebym liczył na reklamowane przez sponsorów menu kolacyjne, w tym osławione przekąski z plandasów, do czego piła potem część niezycziwych kontrprelegentów. W istocie, bowiem, wytrwałem w podróży jedynie przez poczucie obowiązku osobistego wygłoszenia wykładu na temat „Małe jest piękne”, którym według programu miałem uroczyście zakończyć konferencję. Co czynić, gdy „noblesse oblige”? – jak mawiali dawni kosmonauci.

Uniknąć prelekcji nie wypadało mi też z innych przyczyn. Gościnnie udział w konferencji zapowiedziała przecież zarówno drużyna skautów (w związku ze zdobywaniem odznaki „Kosmicznej Uczelni Przedszkolnej Astronomii”), jak i przedstawiciele „Stowarzyszenia YETI – Frustraci Anonimowi”. Młodych spod znaku „K.U.P.A” nie mogłem zawieść w żadnym wypadku, a to dla utrzymania wysokich wskaźników sprzedaży mych książek wśród tej grupy wiekowej. Rozczarowanie zaś „S.Y.F.A.” także nie wchodziło w grę, już choćby z racji niemożliwych do wyobrażenia skutków społecznych (przed czym ostrzegał mnie zawczasu ordynator wydziału Chirurgii Heliocentrycznego Układu Juranii). Wygłoszenie wspomnianego wykładu wobec tej sfrustrowanej delegacji miało bowiem najściślejszy związek z eksperymentalnym programem odzyskiwania przez jej członków wiary w męskość po nieudanym zabiegu ubogacenia własnej atrakcyjności w wieku średnim. No cóż – terapeutyczne wartości aury fantastyczno-naukowej w obecnym stanie wiedzy nadal pozostają dla takich pragnień przedłużeniem odpowiedniejszym, niż cokolwiek innego. W skuteczność innych metod, stosowanych w jakichkolwiek akcjach resocjalizacyjnych, nie wierzyłem zresztą nigdy.

